Wojewódzka Odznaka M. Łodzi

29 Rok XVI (818)

CENA 1.50 ZŁ

22.7.73

550

150

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Rok 1332 i następne

Jeszcze od niedawna wiadomość, że Łódź była miastem już na początku XV w., przyjmowano z niedowierzaniem. Wielka kariera przemysłowa miasta, rozpoczęta przed 150 laty, przesłaniała jego wcześniejsze dzieje. Badania naukowe nad tymi dziejami rozwinęły się na szerszą skalę dopiero na początku lat trzydziestych XX w., a wyniki tych badań osiągnięte przez łódzkie środowisko historyczne, ledwie w drobnej części docierały do wiadomości publicznej. Sprzyjało to szerzeniu się wielu zbyt uproszczonych lub zgoła błędnych poglądów na temat początków Łodzi, podobnie zresztą jak na temat jej późniejszych dziejów. Tegoroczny jubileusz stwarza stosowną okazję, aby choć niektóre z nich zostały sprostowane.

Dalszy ciąg na str. 6

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ŁÓDŹ 2000

Rok 2000 stał się symbolem nowoczesności, postępu technicznego będącego rezultatem dokonującej się rewolucji naukowo-technicznej. Rok 2000 jest też granicą, poza którą nie sięga już nasza wyobraźnia, bo dalej zaczyna się już wiek XXI — przyszłość, którą rysuje nam nasza fantazja, a którą sprawdzi nasza codzienna praktyka za te trzydzieści kilka lat.

Fot: J. Mendychowski

Jeśli więc mówimy: „Łódź 2000", to pod tym pojęciem kryje się wizja nowoczesnego miasta, którego podwaliny stawiamy dziś. Dla planistów realny jest rok 1975. Dla programistów — 1990. Ale jedni i drudzy zdają sobie sprawę, że rysując wizje bliższe i dalsze muszą pamiętać o owym umownym, symbolicznym roku 2000, inaczej — pamiętać, że to, co proponują, dla następnych pokoleń będzie tylko podstawą dla dalszej działalności, dla dalszego rozwoju. Nie jest to zadanie łatwe, bo trzeba też pamiętać o barierze naszych możliwości.

Dalszy ciąg na str. 6

WITOLD WANDURSKI

OD PÓŁNOCY DO ŚWITU

(fragmenty)

Październik.
Ostatni owoc dojrzewa
i spada.
Za liściem liść krąży.
Za liściem liść pada
czerwieni.

Iść — iść — iść ulicami
zadumanymi nocami mądrej jesieni
Iść ulicami: Karola — Pańską — Radwańską —
hen — na Karolew.
Zadymionymi płucami
pić wino z lodem,
pić to powietrze jesieni
pachnące wiatrem i szronem
I ciałem młodem
mej żony.
Iść Pańską — sam — zadumanymi nocami
koło zamkniętych bram
koło parku — wyspy umarłych Boecklina —
i słuchać rytmu swych kroków
tak jeszcze młodych
Patrzeć, jak północ podnosi na srebrnym bloku
lampę gazową księżyca,
patrzeć, jak północ z cienkiego jedwabiu mroków
wycina profile cieni
i skleja
w stylu Beardsleya
blanc et noir.

Noc. Dzikie pole.
Wiolonczele szyn.
I okaryna księżyca.
Jesienna cisza — czarny, ciężki kruk.
Śpi Łódź. Śpi Karolew.
Zamknięte podwoje bram.
Nikt nie słyszy.
Ja sam.
I dzikie pole.
I noc.

Za pół godziny
zanucą pieśń muzealny
syreny fabryk
i wierni — robotnicy i robotnice —
z Karolewa — Pańskiej — Radwańskiej —
wyjdą na ciche ulice
niewyspani, lecz mądrzy i prości.
Za pół godziny
zagrają hejnał radości
trąby kominów —
a wierni
poważni Niemcy — nerwowi Żydzi — Polacy
codzienną modlitwę pracy
rozpoczną.

Październik.
Ostatni owoc dojrzewa
i spada.
Za liściem liść krąży.
Za liściem liść pada
omdlewa.
Łódź dymi.
Sadze na twarzy — jak krosty.
Syrena śpiewa.
Wierni do świątyń dążą.
Idę
radosny i prosty
za nimi.

1922

ZYGMUNT WALIŃSKI

Prezentowany tu reportaż pochodzi z konkursu ogłoszonego przez ukazujący się w latach 1929—31 „Miesięcznik Literacki", redagowany m. in. przez Aleksandra Wata i Władysława Broniewskiego. Czasopismo to, propagując sztukę awangardową, było nieoficjalnym organem zdelegalizowanej KPP i walczyło o nowe treści w literaturze odpowiadające potrzebom i aspiracjom klasy robotniczej. Jesienią 1931 r. wydawanie miesięcznika zostało zawieszone przez cenzurę; zespół redakcyjny aresztowano.

Wspomniany konkurs przyniósł trzy prace związane tematycznie z Łodzią, wśród nich utwór Walińskiego pt. „Przemysłowcy", skonfiskowany przez cenzurę i dzisiaj nieznany. Drukiem ukazała się natomiast praca pt. „Wima" (Widzewska Manufaktura) nagrodzona na konkursie za nowatorską formę i ostre, społeczne treści. O autorze brak bliższych danych.

„Wimę" Zygmunta Walińskiego przedrukowujemy z opracowanej przez Konrada Frejdlicha antologii reportażu łódzkiego pt. „Uśmiech Ariadny", która w najbliższych dniach znajdzie się na półkach księgarskich.

WIMA

I.

220.000 wrzecion.
1.500 warsztatów tkackich.
2 turbogeneratory po 10.000 kilowatów każdy.
Dzienne zużycie węgla 30 wagonów.
Kolejka elektryczna.
Odlewnia.
Gazownia — 1.500 metrów sześciennych gazu dziennie.
Kotłownia.

Dalszy ciąg na str. 8

★ ★ ★

22 lipca 1944 roku ogłoszono Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Jest to data, o której już uczy się w szkole, choć zdarzyło się to zaledwie 29 lat temu. Ale jest to też data, od której w kraju naszym zaczęła się rewolucja społeczna.

Warto czasem przypomnieć sobie rzeczy proste i oczywiste. Pozwala to ostrzej spojrzeć na dzień dzisiejszy, na to, co zrobiliśmy, robimy i zrobić powinniśmy. Stało się już tradycją, że przy okazji każdego kolejnego Lipcowego Święta patrzymy wstecz, aby ocenić przebytą drogę. Za rok będziemy oceniali 30 lat Polski Ludowej. Okazja ta powinna jednak być również powodem do oceny tego, co zrobić trzeba. A do zrobienia mamy istotnie dużo. Wchodzimy przecież w decydujący okres rewolucji naukowo-technicznej. Nie sami wchodzimy w ten okres. Nie możemy więc dać się wyprzedzić innym. Musimy dotrzymywać kroku światowej czołówce. A w niektórych dziedzinach czołówkę tę najpierw dogonić.

Można patrzeć na minione 29 lat pod kątem tego, co wybudowaliśmy, jak zmienił się nasz kraj. I tak się robi. Ale warto też spojrzeć na minione lata pod innym kątem. Ocenić, jak zmieniał się nasz system myślenia, jak kształtowała się nasza świadomość.

„Istotnym warunkiem dalszego przyśpieszenia społeczno-gospodarczego rozwoju naszego kraju — mówił na Krajowej Naradzie Aktywu członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR, Jan Szydlak — oraz pogłębienia socjalistycznego charakteru życia współczesnego Polaków jest dynamiczny rozwój kultury".

Czy wszystko zrobiliśmy w tej dziedzinie, aby przyczynić się do dalszego, intensywnego rozwoju społecznego? Na pytanie to musi odpowiedzieć sobie każdy działacz kultury, każdy propagandysta — pracownik frontu ideologicznego. VII Plenum KC PZPR określiło w uchwale program wychowania ideowego i patriotycznego, określiło model współczesnego Polaka. Warto więc zastanowić się, jak każdy z nas, w swojej codziennej pracy, może i powinien przyczyniać się do kształtowania i utwierdzania tego modelu. Już dawno stwierdzono bowiem, że najtrudniej i najoporniej zachodzą zmiany w świadomości ludzi.

Każda rocznica powstania Polski Ludowej staje się okazją do wyrażania naszych życzeń. Niech więc i tym razem wśród życzeń, aby rosła i rozkwitała nasza Ludowa Ojczyzna, aby umacniała się jej pozycja w świecie, aby nam się lepiej i dostatniej żyło — nie zabraknie życzenia: abyśmy myśleli coraz sprawniej, nowocześniej, abyśmy coraz lepiej i wydajniej pracowali. Nasze sukcesy, nasze powodzenie i to jak będziemy żyli, zależy tylko od nas samych.

ODGŁOSY

MIASTO W STATYSTYCE

Statystyczne porównania pomagają wielokrotnie zrozumieć istotę zachodzących przemian, pokazują, czy postęp dokonuje się dostatecznie szybko. Pozwalają też zobaczyć, jak prezentujemy się na tle innych. Pragniemy przypomnieć Łódź sprzed 35 laty, a jednocześnie pokazać ją w świetle innych danych współczesnych. Lektura statystycznych porównań może być interesująca. Statystykę warto polubić.

PORÓWNANIA

W 1938 roku Łódź miała powierzchnię 56,8 km kwadratowych. Dziś ma — **214,3** km kwadratowego. W 1938 roku w Łodzi mieszkało 669,4 tys. osób. Dziś — około **780 tys.** Ilość mieszkańców miasta przypadających na kilometr kwadratowy musiała być wówczas większa, skoro dziś — przy blisko czterokronie większej powierzchni, a jednocześnie przy niewielkiej różnicy w stanie zaludnienia — na kilometr kwadratowy przypada 3 650 statystycznych łodzian.

Dla porównania: w Krakowie na jeden kilometr kwadratowy przypada 2 155 statystycznych mieszkańców, w Poznaniu — 2 144, we Wrocławiu — 1 876. Gdyby granice miasta powiększyć do 393 km kwadratowych, to wówczas w Łodzi na jednym kilometrze kwadratowym mieszkałoby 2 221 statystycznych mieszkańców, a więc i tak więcej niż w Poznaniu, Krakowie i Wrocławiu.

Jak wyglądała Łódź w statystycznym obrazie z 1938 roku?

Było tu 1 210 zakładów przemysłowych, 17,9 tys. budynków mieszkalnych. Z tym, że do sieci kanalizacyjnej podłączonych było 6,9 proc. mieszkań, do sieci wodociągowej — 14,7 proc., do sieci elektrycznej — 67,1 proc., a do gazowej — 10,8 proc. Rocznie zużywano w Łodzi 123,9 tys. kWh energii elektrycznej.

Były tu 322 wozy tramwajowe, które jeździły po 50 km torów, a rocznie przewoziły 69,2 pasażerów.

Niezwykle interesująco wyglądają dane o stanie motoryzacji z tamtego okresu. Miasto posiadało 1,5 tys. samochodów osobowych, 700 — ciężarowych i 500 — motocykli. Ale trzeba też pamiętać, że były to początki motoryzacji i że dopiero teraz — w 35 lat później — przygotowujemy się do dokonania zasadniczego skoku w tej dziedzinie.

W Łodzi z 1938 roku z telefonu — posiadając własne aparaty — korzystało 14,7 tys. abonentów. Dziś — mamy ich 47,1 tys., ale też w Urzędzie Telefonów Miejscowych leży kilkaset podań o podłączenie telefonu. I tu również trzeba będzie dokonać zasadniczego skoku.

A jak jest dziś w Łodzi?

FABRYKI. Mamy w Łodzi **4 289 zakładów przemysłowych.** Nie trzeba tu chyba przypominać, że choć w niektórych fabrykach maszyny pamiętają jeszcze czasy pierwszej wojny światowej, to proces modernizacji postępuje już znacznie szybciej niż bywało dawniej. Jeszcze w 1971 roku stopień zużycia środków trwałych w przemyśle włókienniczym wynosił 58,3 proc., a w najbardziej nowoczesnym przemyśle elektrotechnicznym i elektronicznym — 39,2. Dziś sytuacja ta stopniowo ulega poprawie, bowiem fabryki stawiając nowe pomieszczenia, wyposażają je w nowe maszyny, a i do starych pomieszczeń sprowadza się coraz więcej nowych urządzeń i maszyn.

DOMY. Mamy w Łodzi przeszło 35 tys. domów mieszkalnych. Rocznie zużywamy blisko 250 tys. kWh energii elektrycznej. Jeden statystyczny łodzianin zużywa jej rocznie prawie 280 kWh. A tylko na oświetlenie ulic zużywa się prawie 22 tys. kWh elektryczności. Z doświadczeń wiemy, że jest to i tak mało w stosunku do potrzeb, bo przydałoby się lepiej oświetlić niektóre ulice, parki i place.

Mamy też prawie 150 tys. odbiorców gazu z sieci i prawie 10 tys. odbiorców gazu płynnego, sprzedawanego w butlach. I tu znów praktyka podpowiada nam, że z gazem płynnym nie ma kłopotów. Są natomiast kłopoty z butlami. Gdyby nie to byłoby więcej odbiorców gazu płynnego.

KOMUNIKACJA. Była ona zawsze słabym punktem miasta. Jednak porównanie z przeszłością wypada na korzyść współczesności. Mamy obecnie 789 wozów, którymi gospodarzy MPK. Mamy **698 km tras komunikacyjnych.** To zapewne dużo. Ale jeśli porównamy to z potrzebami, to dojdziemy do wniosku, że wiele jeszcze mamy w mieście do zrobienia pod tym względem. I tu trzeba przyznać, że w ostatnim czasie znacznie poprawiły się trasy komunikacyjne, a stale rozkopane ulice dowodzą że i nadal coś się w tej dziedzinie dzieje.

KULTURA. W 1938 roku były w Łodzi 3 muzea. Dziś jest ich 6. Wtedy rocznie muzea odwiedzało 20 tys. osób. Dziś — 371 tys. W 1938 roku było 5 teatrów. Obecnie — 11 i Filharmonia. Tylko z liczbą kin nie wiele się zmieniło. W 1938 roku były w Łodzi 32 kina. Obecnie jest ich 34, ale wiele z kin trzeba będzie zamknąć, zburzyć i wybudować nowe. Również w nowych osiedlach.

Obecnie trwa budowa kina **„Iwanowo"** — nazwanego tak od miasta stale współpracującego z Łodzią, wielkiego ośrodka przemysłu włókienniczego w ZSRR. W Iwanowie od dawna czynne już jest wielkie kino „Łódź".

Nasze 34 kina obsługują jednak nieporównanie mniej widzów niż owe 32 kina z 1938 roku. Wówczas rocznie odwiedzało kina 7 454 tys. widzów. Dziś — 4 745,2 tys. No cóż, telewizja robi swoje. W 1971 roku mieliśmy w Łodzi 171 tys. zarejestrowanych odbiorników telewizyjnych. Dziś będzie ich znacznie więcej. Kiedy ma się małe kino w domu, nie odczuwa się już takiej potrzeby pójścia do dużego kina. Tym bardziej, że często do tego kina daleko z Teofilowa czy Dąbrowy.

NA TLE INNYCH

Warto jest czasem spojrzeć na „własne podwórko" z zewnątrz, porównać to, co własne z tym, co mają inni. Można wtedy dojść do ciekawych wniosków i dobrze zastanowić się nad tym, co trzeba jeszcze zrobić, aby Łódź była drugim miastem w Polsce nie tylko pod względem wielkości. Czasami bywamy pierwsi. Taką pozycję zajmujemy pod względem przyrostu naturalnego. Mamy najniższy w kraju: 1,9 na tysiąc ludności. W Krakowie wynosi on 5,2, w Poznaniu — 4,3, a we Wrocławiu 7,7.

Od dawna wiadomo, że miastu potrzeba nakładów finansowych na inwestycje, gdyż ujemnie na życiu mieszkańców odbijają się występujące od lat opóźnienia. I dostaliśmy pokaźne sumy na rozwój i modernizację miasta i jego przemysłu. Program ten wszedł już w stadium intensywnej realizacji. Czy jednak w porównaniu z potrzebami i w porównaniu z innymi miastami w ubiegłym roku mieliśmy wysokie nakłady inwestycyjne? Odpowiada na to **„Mały Rocznik Statystyczny"**, który podaje, że w 1972 roku nakłady inwestycyjne w **Łodzi** wyniosły **6,9 miliarda zł, w Krakowie 6,4 mld.,** w Poznaniu — 4,8, we Wrocławiu — 4,6 mld zł.

A ile Łódź daje krajowi w porównaniu z innymi dużymi miastami?

W ubiegłym roku na jednego statystycznego łodzianina przypadało **66,6 tys. zł** produkcji globalnej. W tym samym czasie na statystycznego krakowianina — 85,3 tys. zł, poznaniaka — 57,5 tys. zł, a na jednego wrocławianina — 62,2 tys. zł. Ogółem wartość produkcji globalnej w Łodzi w ubiegłym roku wyniosła **51,3 miliardy zł,** a w Krakowie (pamiętajmy, Nowa Huta!) — 51,6 miliarda zł.

Porównania Łodzi z innymi miastami bywają niekiedy zaskakujące. Jeśli popatrzeć na zestawienie liczby ludzi pracujących w 4 wydzielonych miastach, to **w Łodzi** jest ich najwięcej — **421,8 tys. osób.** Drugie miejsce zajmuje Kraków (333,9), trzecie — Wrocław (274,8), czwarte — Poznań (258,5 tys. osób). Zaskoczenie wywołuje jednak zestawienie liczby osób pracujących **w budownictwie.** W Łodzi, będącej wielkim zagłębiem budowlanym, realizującej program modernizacji, powinno być ich najwięcej, a tu prym wiedzie Kraków z **65,7 tys.** budowlanych. Łódź zajmuje dopiero drugie miejsce — **43,1 tys. osób** w budownictwie.

Szczycimy się wysoką ilością izb oddawanych rocznie do użytku. **26,7 tys.** oddanych w ubiegłym roku. W Krakowie oddano 19,2 tys., w Poznaniu — 15,8, we Wrocławiu — 12,4. A ten rekord pobiło województwo katowickie — 71,7 tys. W Bydgoskim oddano 28,3 tys., w Gdańskim — 31,1, a w Kieleckim — 22,3.

I na zakończenie kilka danych z **kultury.** Rocznie sprzedajemy **w Łodzi** na jednego mieszkanca (od niemowlaka do staruszka) 134 **gazety i 22 czasopisma.** W Krakowie odpowiednio — 133 i 32, w Poznaniu — 150 i 29, we Wrocławiu — 144 i 27. Jak widać najlepszej pozycji nie mamy. Mamy za to najwięcej książek w publicznych bibliotekach, bo **1 777 woluminów na tysiąc mieszkańców.** Stary Kraków ma ich 1 398, Poznań — 1 633, Wrocław — 1 614.

Na tych samych tysiąc mieszkańców w Łodzi przypada 236 telewizorów, w Poznaniu — 230, we Wrocławiu — 217, a w Krakowie — 202.

PRZESTROGA. Wielki G. B. Shaw twierdził, że statystyka nie zawsze prawdę mówi, bo skoro on ani razu nie bije swojej żony, a jego sąsiad bije ją codziennie, to statystycznie obaj biją swoje żony co drugi dzień. Ale wielki G. B. Shaw był słynnym kpiarzem. Niech więc nam statystyka nie przesłania życia, ale niech też od czasu do czasu będzie ulubioną lekturą. Statystykę naprawdę warto polubić i warto czytając różne tabele o tym i owym sobie pomyśleć.

MARCIN RODAK

Listy do Redakcji

RAJMUND REMBIELIŃSKI I LASY

Obecnie, kiedy tak wiele poświęca się czasu zagadnieniom związanym z ochroną środowiska człowieka, warto przytoczyć zarządzenie wydane przed 150 laty, które miało na celu ochronę lasów miejskich w Łodzi przed ich zagładą. Można by zaryzykować twierdzenie, że dzięki niemu cieszymy się dziś wspaniałością parków Poniatowskiego, Ludowego, czy też parku 3 Maja. Trzy te bowiem parki są pozostałością dawnych lasów miejskich, które brało w obronę wspomniane zarządzenie sprzed 150 laty.

W 1820 r. prezes Komisji Województwa Mazowieckiego, Rajmund Rembieliński, twórca Łodzi przemysłowej, przeprowadził lustrację swego województwa. Właśnie, kiedy znalazł się w małej wówczas mieścinie, Łodzią zwanej, stwierdził z wielką przykrością niepokojące zjawisko dewastacji lasów należących do miasta. Rabunkowa gospodarka, jakiej dopuszczali się mieszkańcy osiedla, spowodowała znaczny ubytek drzewostanu. Gdyby taka niszcząca gospodarka trwała nadal, z pięknych borów łódzkich, być może, nic by nie pozostało.

R. Rembieliński z właściwą sobie energią wystąpił natychmiast w obronie niszczonego lasu. Lustracja terenu przeprowadzona była 7 lipca 1820 r., a już 9 tegoż miesiąca zostało skierowane obszerne pismo do gospodarza miasta. Z pisma tego dowiadujemy się „o nadzwyczajnym spustoszeniu boru do gminy należącego, aż do tego stopnia posuniętego, że niektórzy mieszczanie poważyli się w nim nowe zakładać rudunki, a tym sposobem wspólną całego miasta własność na swą szczególną obracać".

R. Rembieliński wydał burmistrzowi cały szereg bardzo drobiazgowych instrukcji i poleceń. Zabronił ścinania drzew bez asygnaty burmistrza, a temu wolno je było wydawać tylko na ścięcie drzewa przeznaczonego na budowę domów mieszkalnych i to wtedy, gdy budujący uzyska od Komisji Województwa Mazowieckiego zatwierdzenie planów budowy. Dla gorzelni i cegielni zezwolił brać drzewo leżące. Aby ułatwić kontrolę i ochronę zarządził, aby do lasu jeździć po drzewo w wyznaczone dni tygodnia i godziny. Określił kary, jakie będą stosowane względem tych, którzy ośmielą się lekceważyć zarządzenia.

Chciałoby się, aby treść tego zarządzenia gospodarczego władarza województwa sprzed 150 laty dotarła do świadomości urbanistów, by ci budując nowe osiedla mieli na względzie to, że niepotrzebne usuwanie pięknie rosnącego drzewa jest złym czynem, obecnie już wymierzonym przeciw ochronie naszego zdrowia. Prezesowi Rembielińskiemu, gdy wydawał swoje mądre zarządzenie przed 150 laty, chodziło o to, by zapewnić przyszłym pokoleniom materiał budulcowy, a nam obecnie chodzi o sprawę naszego zdrowia.

Zarządzenie to chciałoby się dedykować wszystkim użytkownikom naszych parków, by ci — i mali i duzi — zechcieli się stać gorącymi obrońcami dobra, jakie niesie z sobą dla nas szczególnie obecnie każde drzewo — w naszym zapylonym mieście.

Choć mamy wielkie obszary zieleni, choć miasto należy do rzędu miast w kraju o najbogatszym zadrzewieniu — to przecież gwałtownie postępujący proces zanieczyszczania powietrza, którym oddychamy, wymaga stałego powiększania obszarów zielonego bogactwa.

Posiadamy w Łodzi 25 parków rozłożonych we wszystkich dzielnicach. W 1864 r. lasy miejskie obejmowały przestrzeń wynoszącą 525 ha, a obecnie po przeszło 100 latach mimo rozrostu miasta parki liczą 340 ha. Park Ludowy na Zdrowiu jest jednym z największych w Europie, a do niedawna był największym w Polsce. Mamy bogactwo najbardziej rzadkich okazów drzew i krzewów. Rosną drzewa, które liczą sobie 250 lat. Kiedy R. Rembieliński wydawał swoje zarządzenie w obronie lasów łódzkich, miały już one 100 lat życia.

TEODOR SUJCZYŃSKI

TRADYCJE ZIEMI ŁÓDZKIEJ

Miasto Warta do dnia dzisiejszego stanowi w Polsce (poza Krakowem) unikat, zachowując nadal w formie prawnej Bractwo Literatów (Literaków), datujące się od 1628 roku i jak mówi notatka archiwalna: „Bractwo Literatów wprowadzone zostało według tradycji przy farze wartoskiej A.D.1628". Do władz Bractwa wchodzili: senior, podsenior, assesorowie, podskarbi. Członkowie dzielili się na dwie grupy: Braci starszych (wtajemniczonych) i Braci młodszych. Ustawy bractwa nakazywały: dokładną znajomość pisania i umiejętność czytania (co było na owe czasy wyjątkową rzadkością wśród ludu), dokładnego wypełniania obowiązków zawodowych, wspomagania współbraci, opiekę nad kalekami, chorymi i ubogimi, szczególnie w czasie gospodarczych kryzysów i klęsk żywiołowych.

W Bractwie stosowano kary, unikając rozpraw sądowych. Przy wymiarze kary pierwszy zabiera głos oskarżony, później przedstolni, a w końcu oskarżyciel. Ostatnie słowo należało do starszych Bractwa. Karano wieżą i grzywną, a od XIX wieku tylko grzywną.

Po rozbiorach Bractwo Literatów nie przejawiało żywotnej działalności, widocznie rząd pruski a później carski obawiał się tego aktywnego i okrytego tajemniczością Bractwa. Ponownie powołane zostało w dniu 20 czerwca 1809 roku, a od 1815 roku przybrało nieco konspiracyjną nazwę: „Bractwo Cechu Literatów (Literaków) i Konfraterni Różańcowej NMP w Mieście Warcie". Po powstaniu styczniowym władze carskie rosyjskie obawiając się tej bądź co bądź inteligentnej organizacji nakazało przetłumaczyć wszystkie księgi na język rosyjski pod groźbą likwidacji. Przed XIX wiekim liczba członków ograniczała się od 20 do 30, osób, w wieku XIX dochodziło do 50 członków, choćby z tego powodu, że na terenie Warty znajdowała się Szkoła Podwydziałowa, posiadająca liczne grono wykładowców, do której uczęszczało wielu mieszczan.

Było to Bractwo zamożne, posiadające liczne nieruchomości, które systematycznie ulegały likwidacji na rzecz Domu Starców i miejscowego kościoła. Po pierwszej wojnie światowej nadal Bractwo istniało, ale członków było od 10 do 20 osób. Do dnia dzisiejszego żyją jeszcze niektórzy członkowie tego Bractwa.

KAZIMIERZ BRYŃSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

JULIAN MARCHLEWSKI

Z 59 lat, które przeżył między 1866, a 1925, aż 40 oddał służbie w ruchu robotniczym. Na drogę działalności rewolucyjnej wkroczył w okresie gimnazjalnym, stając się sympatykiem pierwszej polskiej partii socjalistycznej „Proletariat" Ludwika Waryńskiego. Właśnie z tym ugrupowaniem wiązała się działalność kółka samokształceniowego w gimnazjum warszawskim na Nowym Zjeździe, do którego uczęszczał młody Julian. Aktywnie uczestnicząc w pracach koła zapoznawał się z nielegalnie wydawanymi broszurami socjalistycznymi, a później z pracami Marksa i Engelsa.

Pierwszą szkołę hartu rewolucyjnego przeszedł w dniach styczniowych 1886 roku, w cieniu szubienic, na których zawisli Kunicki, Bardowski, Ossowski i Pietrusiński. Słabych ciosy te odstraszyły od ruchu, silnych spoiły z nim jeszcze bardziej.

Po ukończeniu gimnazjum w 1887 roku, zdecydował się wkroczyć na drogę rewolucji i śladem swego duchowego przewodnika, Ludwika Waryńskiego, postanowił zostać robotnikiem. Krok ten był aktem świadomego wyboru, ponieważ praca w fabryce pozwoliła mu na bezpośrednie poznanie warunków pracy robotników, ich politycznych poglądów, nastrojów, pragnień i dążeń.

Pracując jako robotnik był jednocześnie rewolucjonistą spieszącym wszędzie tam, gdzie toczyła się zbrojna walka o zwycięstwo proletariatu. Oddawał się przy tym studiom arcydzieł socjalizmu naukowego, ale jednocześnie czytał ze zrozumieniem szeroko otwartą księgę życia, bowiem znał dobrze warunki życia proletariatu i rozumiał język robociarski. Dzięki temu umiał znakomicie popularyzować marksizm.

Jak wspominał Feliks Kon, „w Marchlewskim wyrażone są charakterystyczne cechy Polaka... i gdziekolwiek znajdował się, jakąkolwiek pełnił pracę, żył życiem polskich mas pracujących, żył ich męką i cierpieniem".

Już w 1889 roku zakłada wraz ze ślusarzem Janem Lederem, zecerem Henrykiem Wilkoszewskim i Januszem Tańskim, Związek Robotników Polskich, pierwszą masową organizację proletariacką, z której wyłoniła się w cztery lata później Socjaldemokracja Królestwa Polskiego.

Jesienią 1890 przeniósł się do Łodzi, wstępując do wielkiej fabryki Poznańskiego. W jej murach instaluje szeroko rozgałęzioną agendę Związku Robotników Polskich i zapisuje się na trwałe w historii miasta organizacją słynnej manifestacji święta majowego w 1891 roku. Niestety, wpada w ręce policji już na jesieni, w wyniku masowych aresztowań. Podczas rewizji znaleziono u niego egzemplarz „Kapitału", nieukończony przekład „Teorii wartości" Kautsky'ego oraz tom poezji Zygmunta Krasińskiego.

O głębokim umiłowaniu literatury i kultury polskiej przez Marchlewskiego, wspominał jego stary druh z SDKPiL, Stanisław Bobiński:

„Marchlewski umiał na pamięć całe strofy „Pana Tadeusza", lubował się w Słowackim i Wyspiańskim, świetnie znał literaturę polską, nową i starą. Jednakże charakterystyczną rzeczą jest, że tłumaczył dla Niemców „Pamiętniki" Paska i nigdy się z nimi nie rozstawał. Sypał też przysłowiami staropolskimi zawsze i nieoczekiwanie, jak na zawołanie".

Nic też dziwnego, że problemy literatury i sztuki zajęły szczególne miejsce w publicystyce polskiego rewolucjonisty. Jego prawdziwą pasją stała się kwestia upowszechnienia wśród ludu wybitnych dzieł z różnych niw kulturalnych. Zwłaszcza polskie środowisko literackie znał doskonale, toteż utrzymywał ożywione kontakty z wieloma wybitnymi pisarzami. W centrum tego zainteresowania ogniskowało się pragnienie, aby literatura narodu rozdartego między trzy zaborcze państwa, była znana również czytelnikom Europy zachodniej. Ten cel przyświecał mu, gdy w 1902 roku stał się dyrektorem firmy wydawniczej w Monachium. Wybór dzieł polskich do tłumaczeń selekcjonuje pod kątem postępowości, oryginalności w treści i nowatorstwa w wyrazie artystycznym. Pragnął przy tym, aby indywidualny los jednostki demonstrowany w dziełach polskich twórców był ujęty na tle walk i konfliktów socjalnych, aby czytelnikiem „wstrząsnął do głębi ten wielki dramat zapasów społecznych, dramat najciekawszy ze wszystkich".

Propozycje w tej mierze kieruje przede wszystkim do Władysława Orkana, Stanisława Przybyszewskiego, Adolfa Dygasińskiego, Wacława Sieroszewskiego, Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Stefana Żeromskiego. Tego ostatniego pamięta jeszcze z czasów wspólnego pobytu w Rapperswilu, a więc z okresu, gdy młody pisarz zajmował się biblioteką miejscowego Muzeum Polskiego, a młodszy od niego o 2 lata socjalista, zdobywał doktorat na Uniwersytecie Zuryskim.

Z autorem „Popiołów" i Władysławem Orkanem kontynuował długo korespondencję utrzymaną w serdecznym tonie, przy czym znamiennym spoiwem łączącym ich związek była nie tylko wspólnota zainteresowań człowiekiem, ale także wielka miłość do Tatr. Planowali wspólny pobyt u stóp Giewontu, toteż Marchlewski zwierzał się Orkanowi, że latem „mocarne rzeczy będziemy czynić. Kalkuluję: Lodowy, Łomnica a Kozie Wierchy i poza tym ze dwie niedziele włóczęgi po górach a dolinach".

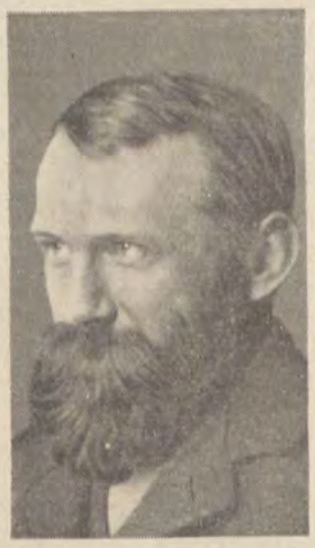

Julian Marchlewski był też wybitnym uczonym, ekonomistą, historykiem i teoretykiem marksizmu. Jego naukowy i publicystyczny dorobek zamyka się rzadko spotykaną, imponującą cyfrą 1868 publikacji, skonkretyzowanych w formie artykułów, szkiców, esejów, recenzji, broszur i obszerniejszych prac naukowych. Jednakże w okresie ostrej walki klasowej nie uważał za stosowne całkowitego skupienia wszystkich sił na polu teoretycznym. Swoje credo w tej sprawie objawił w jednym z artykułów, nawołując do kojarzenia pracy teoretycznej z codzienną służbą proletariatowi.

Postulat ten urzeczywistniał własnym przykładem. A przy tym walczył aktywnie o zwycięstwo socjalizmu, bowiem ruch ten łączył niezmiennie z najpiękniejszymi ideami ludzkości. „Społeczeństwo przyszłości — pisał — to nie społeczeństwo ludzi sytych, lecz społeczeństwo ludzi prawdziwie szlachetnych, pełnych miłości, żądnych wiedzy i doskonałości".

Marchlewski traktował pracę naukową jako oręż teoretyczny klasy najbardziej radykalnej i rewolucyjnej, splatając teorię z partyjnością. Spod jego pióra wyszło wiele dzieł i rozpraw, które na trwałe zapisały się jako wybitna część teoretycznego dorobku nie tylko polskiego, ale jednocześnie międzynarodowego ruchu robotniczego.

W latach poprzedzających wybuch I wojny światowej zaznaczył swą obecność w międzynarodowym ruchu robotniczym na lewym skrzydle II Międzynarodówki. Przede wszystkim skupiał uwagę na odpieraniu wszelkich przejawów rewizjonizmu i nacjonalizmu i zwalczał zainicjowane wystąpieniami Bernsteina próby rewizji fundamentalnych tez marksizmu. Występował także przeciwko centryzmowi i jego tendencjom kompromisowym między rewolucyjnym i reformistycznym socjalizmem.

Marchlewski pozostał przez długi czas jedynym specjalistą w kwestii agrarnej i włościańskiej w polskiej rewolucyjnej lewicy socjalistycznej, która na ogół nie doceniała wagi tego problemu. Wniósł też wielki wkład do programu rolnego, uchwalonego w 1920 roku na II Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej.

Jego myśli w kwestii narodowej koncentrowały się wokół sądu, że proletariat stanowi główną siłę i ostoję narodu, ponieważ ta klasa oparła się skutecznie polityce wynarodowienia, praktykowanej powszechnie przez zaborców. Zdaniem Marchlewskiego interesy walki wyzwoleńczej ludu polskiego wymagają bezwzględnego przeciwstawienia się ideologii solidaryzmu klasowego i ściśle związanego z nim nacjonalizmu. W takim razie proletariat polski może znaleźć sojusznika w walce o wolność narodową i społeczną jedynie w nurtach postępowych i rewolucyjnych innych krajów, przede wszystkim w ruchu robotniczym państw zaborczych.

I w tym wypadku służył przykładem jako wzór do naśladownictwa, tworząc u progu I wojny światowej razem z Różą Luksemburg, Fryderykiem Mehringiem i Karolem Liebknechtem Związek Spartakusa, z którego rozwinęła się Komunistyczna Partia Niemiec.

Julian Marchlewski reprezentował przez całe swoje życie postawę człowieka czynu, który łączył w sobie cechy patrioty i internacjonalisty, przejętego teorią marksistowską i rewolucyjną praktyką. Śladem najlepszych synów narodu polskiego walczył niezmordowanie pod sztandarem z wiecznie żywym hasłem: „Za waszą i naszą wolność".

ZIEMOWIT MIEDZIŃSKI

PREZENTACJE

Społeczeństwo Łodzi ukształtowało się przez ostatnie 150 lat jej przemysłowego istnienia. Zmieniały się warunki gospodarcze i społeczne, zmieniały się upodobania, gusty, obyczaje i zwyczaje. Dziś żyjemy inaczej niż przed 20 laty, ale jeszcze inaczej żyli i myśleli łodzianie przed 50 i 100 laty. Chodząc ulicami dzisiejszej, stale przeobrażającej się Łodzi, zastanawiamy się nad tym, jak tu było dawniej, jak tu żyli ludzie. Obraz przeszłości można odtworzyć z zachowanych dokumentów, książek, z przekazów ludzi, którzy pamiętają dawną Łódź.

DR JANUSZ DUNIN wiele wie o dawnej Łodzi, a wie to dzięki swoim badaniom, dzięki stałemu obcowaniu z dokumentami, pokazującymi przeszłość miasta, z materiałami pisanymi, które powstały z początkiem XX wieku.

ŚLADAMI LUDZI, ŚLADAMI KSIĄŻEK

— Skąd wzięły się Pańskie zainteresowania przeszłością miasta?

— Skąd? Chyba jednak od Juliana Tuwima. Interesowałem się jego twórczością, a on znów interesował się różnego rodzaju ciekawostkami. Spostrzegłem jednak, że dla Tuwima gromadzenie ciekawostek jest przyjemnością samą w sobie. Nie posiadał on zmysłu historycznego, nie starał się z tych najprzeróżniejszych przekazów układać całości. Po prostu gromadził je. Ja znów od młodzieńczych lat miałem zacięcie bibliofilskie. Chodziłem po antykwariatach i zbierałem stare druki. A że stałem się łodzianinem i związałem się z tym miastem na dobre i złe, interesuje więc mnie wszystko, co powstawało w Łodzi. Zacząłem gromadzić różnego rodzaju nabytki, a następnie widząc, że jest już ich sporo, zacząłem je opracowywać.

— Jest to — jak się okazuje — niezwykle cenne i pożyteczne zajęcie, bo dzięki temu powiększa się nasza wiedza o dawnej Łodzi.

— Zapewne, ale — moim zdaniem — to mało. Brakuje nam — tak to przynajmniej ja bym odczuwał — miejskich etnografów, którzy chodziliby po Łodzi z magnetefonami i nagrywali to wszystko, co z opowiadań ludzi o przeszłości miasta warto byłoby utrwalić i zachować dla potomnych.

— A Pan tego nie próbował?

— Owszem. Przyznam się jednak pani, że w tych poszukiwaniach prześladuje mnie pech.

— Dlaczego?

— Bo to tak się jakoś dziwnie złożyło, że ilekroć dowiedziałem się o kimś, kim warto byłoby się zainteresować i z kim warto byłoby porozmawiać, to nim do niego docierałem — umierał.

— Być może późno Pan się o tych ludziach dowiadywał.

— To raczej późno zaczęliśmy się tym interesować. Przecież nie ja jeden interesuję się przeszłością miasta.

— Podobne prace podjęło również Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi.

— Istotnie. Ale żeby nie demonizować tego, co powiedziałem o moim pechu, opowiem pani dwie historyjki, jakie mi się przydarzyły. Otóż swego czasu była przy ul. Piotrkowskiej księgarnia Słomnickiego, w której pracował stary księgarz Sobczak. Interesował się on — podobnie jak ja — dawnymi piosenkami ulicznymi. Rozmawiałem z nim kilka razy, ale były to wstępne rozmowy. Chciałem się przygotować do następnego spotkania, aby dowiedzieć się od niego wielu interesujących mnie rzeczy. Nim jednak doszło do tej rozmowy, zmarł na raka.

Dalszy ciąg na str. 4

RYSZARD BINKOWSKI

RODZINA MALINOWSKICH

Są w tym mieście tysiące robotniczych rodzin z włókniarskim rodowodem. Miałem pokazać w reportażu życie „wczoraj i dziś" jednej z nich. Bogaty, ale trudny wybór, przeto zwróciłem się o pomoc do Jana Lipskiego, I sekretarza KZ PZPR w ŁZPB im. Obrońców Pokoju. Sekretarz, zawsze życzliwy dla prasy, też miał niełatwe zadanie, bo w zakładach ponad 11 tys. ludzi, ale sprawę załatwił. I tak znalazłem się w pokoju sekretarza POP na tkalni „C", Władysława Chyżyńskiego, który powiedział:

— Typowa czy nietypowa, może tylko zwyczajna, ale na pewno godna zainteresowania będzie rodzina Malinowskich.

— Dlaczego?

— Ojciec — mistrz tkacki, matka i córka też tkaczki, wszyscy u nas pracują, cieszą się sympatią i szacunkiem w pracy i miejscu zamieszkania.

Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby sekretarz nie wyjaśnił, że mimo postępującej modernizacji, są jeszcze na chodzie maszyny pamiętające cara, praca ciężka, ludzie, zwłaszcza młodzi, unikają jej, a Malinowscy nie. Przychodzą na pół godziny przed rozpoczęciem zmiany i przejmują maszyny w ruchu, bez przestojów.

Kiedy wdrapałem się na piąte piętro nietypowego (zbudowany 15 lat temu) bloku przy ul. Jaracza 48, drzwi otworzyła pani **HONORATA MALINOWSKA.** Odeszła akurat od kuchni, gdzie robiła ostatnie porządki przed wyjściem do pracy na popołudniową zmianę. Przedstawiłem się grzecznie, jak pouczał mnie zaprzyjaźniony dziennikarz, znany niegdyś pod pseudonimem „Bezet", ale i tak wynikła pewna konsternacja.

Że niby dlaczego właśnie na Malinowskich padł wybór i kto mnie przysłał. Trzymająca na ręku dziecko i podobna do matki młoda kobieta spytała nawet podchwytliwie o dokładne brzmienie mego nazwiska, więc, żeby rozwiać wątpliwości, wylegitymowałem się. Sytuację ratowało dziecko, półroczna wnuczka pani Honoraty, wykazując żywe zainteresowanie moim owłosieniem i okularami. Okazało się, że wnuczka jest córką młodej kobiety, a ta, córką pani Honoraty; ma na imię Bogda wyszła za mąż za fotografa, a z zawodu jest ekonomistą.

Nie wiem, czy ten wywód jest dość jasny, ale mnie

Dalszy ciąg na str. 4

PREZENTACJE

Dalszy ciąg ze str. 3

— A druga historia?

— Druga historia jest właściwie bardziej smutna. Pokazuje też ona, jak nie potrafimy chronić cennych dla poznania przeszłości źródeł. Otóż ojciec pewnego żyjącego dziś muzyka był ulicznym śpiewakiem. Syn zresztą zaczynał swoją karierę u jego boku, ale to nie jest takie ważne. Trzeba natomiast powiedzieć, że przedwojenni uliczni śpiewacy byli jednocześnie wydawcami, a nieraz i autorami tekstów piosenek. Interesując się uliczną piosenką i zbierając teksty trafiłem na wiele adresów, gdzie ci ludzie mieszkali przed wojną. Odwiedzałem te domy i zdarzało się, że sąsiedzi pamiętali o tych, którzy tam mieszkali przed wieloma laty. Pamiętano również i tego, który mnie tak interesował. Odnalazłem jego syna i otrzymałem adres ojca. Mieszkał w Nowej Hucie. Napisałem na ten adres. Dostałem odpowiedź, że człowiek dawno już nie żyje, że zostały po nim papiery, którymi nikt się nie zajął, więc je wyrzucono. Syn nie wiedział zresztą o śmierci ojca. I tak nie zachowało się prawie nic po jednym z najpopularniejszych spośród łódzkich, ulicznych pieśniarzy.

— Czy na podstawie tekstów ulicznych piosenek, które Pan zbiera, można odtworzyć obraz dawnej Łodzi? Pokazać, jacy byli dawniej łodzianie?

— Można. Na przykład w okresie wielkiego, powojennego kryzysu powstało wiele piosenek, które były protestem przeciw ówczesnym warunkom. Ale był to protest typowy dla ludzi, nierozumiejących mechanizmu rozwoju społecznego. Protestując przeciw temu, co im szczególnie dokuczało, chwalili jednocześnie czasy, które kryzys poprzedzały.

— A jak charakteryzowano łodzianina w tych piosenkach, które powstawały przed wojną i jeszcze wcześniej?

— Może to zdziwi panią, ale — że tak powiem — model ówczesnego łodzianina był zupełnym przeciwieństwem tego, co dziś myślimy o sobie. Dziś uważamy, że znacznie ustępujemy warszawiakom, których uważa się za bardzo obrotnych, przedsiębiorczych. Otóż wówczas myślano zupełnie odwrotnie. To łodzianin był przykładem zaradności, obrotności, zmysłu handlowego, przedsiębiorczości. Mieszkańcy innych miast — jak wynika z tekstów ulicznych piosenek — znacznie ustępowali łodzianom.

— Szkoda, że ten pogląd zniknął, gdyż jest on chyba bliższy prawdy niż opinia, że jesteśmy bezradni.

— Poglądy kształtują ludzie, a ludzie, jak to ludzie, są różni.

— A kto wówczas pisywał teksty piosenek ulicznych? Czy tylko sami pieśniarze i wydawcy?

— Nie, zdarzało się, że pisywali je także znani pisarze. Starannie jednak ukrywali swoje autorstwo.

— Czym jeszcze interesuje się Pan poza piosenką uliczną?

— Zbieralem stare a naiwne pocztówki. Pewnego dnia, przeglądając swój zbiór, zwróciłem uwagę na odwrotną stronę tych kart. Okazało się, że swego czasu panował zwyczaj pisywania życzeń i pozdrowień wierszem.

— Czyżby niewyżyte ambicje pisarskie?

— To nie to. Istniał po prostu pewien schemat pisania pozdrowień, a był to schemat wierszowany, wystarczyło go jedynie adaptować do określonych okoliczności.

— I z tych spostrzeżeń powstało opracowanie?

— Tak. Publikacja, niewielka, ale chyba wzbudziła ona pewne zainteresowanie.

— Wiem, że interesował się Pan również łódzkim kabaretem.

— Wydałem książkę o kabaretach i łódzkich teatrzykach ogródkowych. Książka nosi tytuł: „Bi Ba Bo i gdzie indziej". Interesuję się też wydawnictwami zeszytowymi, w których ukazywały się w odcinkach powieści, najczęściej sensacyjne. Może się wydawać, że interesują mnie bardzo różne rzeczy. Ale przecież układają się te zainteresowania w jednolity obraz popularnej, ale dość tandetnej kultury dawnej Łodzi.

— Interesuje Pana przede wszystkim to, co powstawało w mieście?

— Nie tylko. My często za łódzkie bierzemy właśnie to, co tu powstaje. Uważam, że o ówczesnej Łodzi wiele może powiedzieć i to, co było do Łodzi adresowane. Na przykład jedna z gazet katowickich, bardzo zresztą w Łodzi popularna, publikowana powieść w odcinkach — jako bezpłatny dodatek. Powieść ta nosiła tytuł „Upiory Łodzi". Była to jakaś nieprawdopodobna historia o porywa-

Dalszy ciąg na str. 5

Fot: A. Wach

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Przed rokiem, kiedy wszystkie łódzkie ośrodki masowego przekazu trąbiły na temat Parku Kultury i Wypoczynku, który miał powstać na Zdrowiu i którego piękną ideę stworzył „**Głos Robotniczy**" — pojechałem na rzekomy teren budowy i doznałem niejakiego rozczarowania. Spodziewałem się przecież mnogich zastępów społecznej siły roboczej — owych, wymienianych z dnia na dzień przez „Głos" uczniów, robotników, urzędników i żołnierzy, natomiast w Parku panowała błoga cisza i całkowite bezrobocie.

ni zowąd NAJWIĘKSZA ŁÓDZKA INWESTYCJA WSZECHCZASÓW, na którą złożą się:

Muzeum Sztuki Współczesnej
Pomnik Czynu Rewolucyjnego 1905 roku
Letni Teatr Estradowy
Dwa zespoły basenów kąpielowych
Ogródki dziecięce
Kombinat gastronomiczny: kawiarnie, restauracje i bary szybkiej obsługi
Obserwatorium astronomiczne
Kilka potężnych stadionów sportowych
Tereny wystaw i widowisk plenerowych
Ośrodki wypoczynkowo-rekreacyjne dla obywateli od lat pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu
Motele
Odpowiednio rozbudowane ZOO i przestronny Ogród Botaniczny
Krzesełkowa kolejka linowa, kursująca wzdłuż i wszerz Parku, łącząca poszczególne jego obiekty oraz...
Dwupoziomowe przejścia w kilku najbardziej newralgicznych punktach SIEDEMSET HEKTAROWEGO KRÓLESTWA MARZEŃ...

Sergiusz Grun (lat 13)

ZDROWIE — WERSJA DRUGA

Sielski spokój kłócił się z entuzjazmem publikatorów i lansowaną przez nie wizją przyszłości. Jestem sceptykiem i trudno mi było uwierzyć, że tu, pośród dzikich drzew i zachwaszczonych traw wyrośnie ni stąd

Wesołe miasteczko o najwspanialszych urządzeniach i największej powierzchni w Europie
Tory go-kartowe

Mojego sceptycyzmu nie łagodził fakt, że budowa za-

Dalszy ciąg na str. 9

Dalszy ciąg ze str. 3

się z początku też wszystko poplątało.

— To przez mojego Józefa — wyjaśniła ze śmiechem pani Honorata. — **Świetny mistrz na tkalni, ale w domu... lichy majster...**

To miało oznaczać, że mają cztery córki. O Bogdzie już wspomniałem. Dorota jest telefonistką i uczy się zaocznie w Technikum Kinematograficznym; Maryla pracuje w tkalni, a najmłodszą, Iwonę, ładną, szczupłą dziewczynę, przeznaczono na naukę w odzieżówce.

— Sama wybrałaś ten zawód? — spytałem.

— Mama mnie namówiła. — A co, miałaś iść do ogólniaka? Tak będziesz miała zawód — powiedziała matka — **i to w jakiś sposób związany z włókiennictwem.**

— A gdzie jest Maryla — spytałem. — Bo w fabryce jej nie zastałem.

— Ona pracuje w tym tygodniu na noc. Wczoraj poszła się opalać. Zasnęła i tak się spiekła, że nie może założyć sukienki. Dziś poszła do lekarza, żeby jej coś poradził...

Pytam o historię ich dotychczasowego życia. Malinowska wykręca się, że ma niewiele do powiedzenia. Wyciąga z łóżka zaspanego męża, gdyż ten także pracuje na nocną zmianę. Przy papierosie senność znika i **JÓZEF MALINOWSKI** opowiada. W skrócie można by przedstawić to następująco. Tak on, jak i żona już od 28 lat pracują we włókiennictwie. Podoba mu się ta praca, po prostu ją lubi; był 13 lat salowym, teraz jest mistrzem. Jako członek partii od 1945 roku starał się być zawsze po stronie robotników. Prawdomówny i bezpośredni, wygarniał ludziom prawdę w oczy, przez co... narażał się zwierzchnikom. Pamięta początek lat pięćdziesiątych, ówczesną atmosferę. Ktoś przecina osnowę na nocnej zmianie, więc salowy najbardziej cierpi, brany jest w takie obroty, że żyć się odechciewa... Na rok odchodzi z tkalni, nigdzie nie chcą przyjąć go do pracy...

Patrzę na te ładnie ubrane, dorodne córki Malinowskich i nasuwa mi się pytanie, jakie było dzieciństwo i młodość rodziców.

JÓZEF MALINOWSKI:

— Kiedy miałem 15 lat, pracowałem u Niemców przy kopaniu basenów. Matkę wywieziono na roboty, ojciec w niewoli, więc sam musiałem sobie dawać radę. Pracowałem dorywczo, handlowałem, grunt, żeby przeżyć...

HONORATA MALINOWSKA:

— A ja co miałam z życia? Szwagier zginął, siostra umarła, więc musiałam od najmłodszych lat pracować na siebie i utrzymanie siostrzeńców. Zaraz po wojnie dostawaliśmy talony na materiały. Sprzedawałam je i dzieliłam między siostrzeńców, sama chodziłam w lichej, kretonowej sukience. W kurzu, przy maszynach zjadało się śniadanie. Dobry był chleb ze smalcem lub z cebulą...

— A jak poszła pierwszy raz do pracy Maryla?

— Poszła w szwedach i butach na koturnach — wyrywa się pani Bogda.

— Jedzenie też musi mieć dobre — mówi matka — **zawsze urozmaicone. Zresztą i mnie chleb ze smalcem nie bardzo smakuje...**

— Czy wasza córka mogłaby ocenić zmiany, jakie zaszły pod względem warunków pracy w fabryce?

— Oczywiście, że nie — wyjaśnia Józef Malinowski. **— Przecież ona pracuje dopiero dwa lata. Maryla obsługuje 4 wąskie krosna, żona 6 angielskich. Jest huk, przeszło 90 decybeli, ja sam już trochę przygłuchłem, przez te lata, ale to nie to, co kiedyś. Brakowało czółenek, gońców, a te, co były, niszczyły się szybko. Teraz więcej nowych maszyn, lepsze oświetlenie, poprawia się klimatyzacja.**

— No i te pokoje śniadaniowe, szatnie, stołówka — dodaje żona.

Blok, w którym zamieszkali przed 13 laty, zbudował zakład pracy. Mają trzy pokoje z kuchnią i łazienką. Nowoczesne meble, zielone dywany, duże radio tranzystorowe, aparat lampowy, telewizor. Trzeba było wiele lat wyrzeczeń, aby to osiągnąć. Bo Józef Malinowski mieszkał kiedyś w małej izdebce przy ul. Wesołej. A po wojnie? Honorata pracowała na tkalni z siostrą, koło której kręcił się kolega Józefa. Kolega poznał go z Honoratą i pożenił się z siostrami. Jak potem powie babcia Glenia, Józek przyprowadził kobietę, przedstawił, potem zawiódł ją do USC, więc dała im jedną izbę i to było całe wesele.

No i zaczęły się chrzciny. Przyszły na świat cztery córki, więc w sześć osób gnieździli się w jednej izbie. Pracowali na zmiany, przez dwie godziny maluchami zajmowała się babcia. Dzieci często chorowały. Nie ważne było, czy chore jedno dziecko, czy troje. Wyszły wolne, płatne dni, to trzeba było zostawać w domu, bez wynagrodzenia. A kiedy dostali wreszcie to mieszkanie, spiętrzyły się wydatki, bo babcia rencistka, prządka od przedwojny, też nie mogła pomóc. Trzeba było wpłacić kaucję za mieszkanie, kupić meble. Męczyli się w tym okresie, nie dosypiali, odejmowali sobie od ust, aby rodzina mogła pożyć wreszcie w znośniejszych warunkach.

— Najmniej ucierpiała Iwona — śmieje się ojciec. **— A Maryla też nie może narzekać, chociaż poszła na tkalnię. Przyzwyczaiła się. Tylko, że ona jest wątła, męczy ją praca w nocy. A poza tym ma swoje zainteresowania, lubi iść do kina czy teatru, więc kiedy pracuje na noc, musi z tego zrezygnować.**

Przyszła babcia Glenia. Postawna kobieta o pokaźnej tuszy. Stanęła, popatrzy-

JÓZEF GRZELAK

„...ZAŚ KONTUSZ ODDALI DO MUZEUM"

W korespondencji działaczy politycznych, zwłaszcza tych nieprzeciętnego wymiaru, rzadko zdarzają się listy o charakterze autobiograficznym. Zazwyczaj przeważa korespondencja bieżąca, związana najściślej z chwilą dzisiejszą, nie często zaś znajdzie się czas na spojrzenie wstecz, przypomnienie sobie i adresatowi spraw, które ich niegdyś łączyły, przedstawienie własnej drogi życiowej tak, jak się ją samemu po latach potrafiło zsyntetyzować. Tym bardziej cenne jest odnalezienie przez radzieckiego badacza M. N. CZERNYCHA trzech listów JULIANA MARCHLEWSKIEGO do MIKOŁAJA MICHAJŁOWICZA Archangielskiego z lat 1905—1922.

Nie wymagają one zbyt długiego komentarza, autor powiada o sobie wiele, czyni to w sposób jasny i zrozumiały. Adresatem listów wybitnego polskiego rewolucjonisty jest Rosjanin, człowiek związany niegdyś z pierwszą polską partią robotniczą *„PROLETARIATEM"*, dawny nauczyciel w gimnazjum realnym w Warszawie, do którego uczęszczał młody Marchlewski, uczestnik kółka rewolucyjnego, kierowanego przez *MARIĘ BOHUSZEWICZÓWNĘ*, wedle opinii siostry Juliana, *MARTY MARCHLEWSKIEJ* pierwszy człowiek, *„który go społecznie rozbudził"*. Potwierdza to zresztą w całej pełni Julian w swoich listach. Archangielski, nim został aresztowany we wrześniu 1885 r., był organizatorem kółka samokształceniowego wśród uczniów gimnazjum, tego kółka, w którym oprócz J. Marchlewskiego działał także inny wybitny w przyszłości rewolucjonista — *ADOLF WARSKI*.

Listy J. Marchlewskiego przynoszą sporo nieznanych szczegółów, uzupełniających jego biografię. Wystarczy zestawić sobie ich treść z tym, co wiadomo na podstawie znanej książki Feliksa Tycha i Horsta Schumachera, opublikowanej u nas przed kilkoma laty (1966). Zestawienie wiadomości zawartych w listach z danymi, opublikowanymi w książce będzie pasjonującą przygodą intelektualną, a zarazem próbką pracy historyka — badacza. Nie miejsce tu na przedstawianie jej rezultatów.

Za szczególnie ważne w publikowanych listach uznać można stwierdzenie Marchlewskiego, że był on w 1888 roku jednym z założycieli „Związku Robotników Polskich". Kapitalne jest przedstawienie zawiedzionych nadziei, jakie łączył J. Marchlewski z utworzeniem przez siebie i *ALEKSANDRA HELPHANDA*, występującego w liście pod pseudonimem *PARVUS*, monachijskiego przedsiębiorstwa wydawniczego. I wreszcie bodaj czy nie najważniejsze: jakże wymowne określenie własnego stosunku rewolucjonisty do różnych nurtów polskiego ruchu robotniczego, z aluzjami — ze zrozumiałych względów nie dla każdego zrozumiałymi, skoro list szedł normalną pocztą, do rewolucyjnych wydarzeń 1905 roku w Polsce, w tym również w Łodzi.

PIERWSZY Z LISTÓW jest odpowiedzią na nieznane pismo M. M. Archangielskiego skreślone przezeń w odpowiedzi na krótki liścik, jaki skierował doń Marchlewski z Monachium 10 września 1905 roku. Korespondent polskiego rewolucjonisty po aresztowaniu w 1885 r. i dwuletnim pobycie w warszawskiej Cytadeli został zesłany na czteroletni pobyt we Wschodniej Syberii. W 1891 r. osiadł w Saratowie, nie zaprzestając

Dalszy ciąg na str. 10

Wiesław Garboliński — FRAGMENT ŁODZI — olej

PREZENTACJE

Dalszy ciąg ze str. 4

czach, ucieczkach, pogoniach, a rzecz cała rozgrywała się w Łodzi. Podejrzewam, że adaptowano tę pseudosensacyjną historię do łódzkiej scenerii, zdając sobie sprawę, że w mieście było zapotrzebowanie na taką literaturę.

— I było?

— Oczywiście. Koncern „Republika" wydawał tego sporo, szczególnie w latach trzydziestych. I muszę powiedzieć, że były to utwory na dobrym rzemieślniczym poziomie. Przecież wartości literackie utworu nie zależą od konwencji, jaką przyjął autor, a od wiedzy i umiejętności piszącego. Wiele powieści, pomyślanych jako sensacyjne czy przygodowe, weszło na stałe do historii literatury. W tym zalewie tandety trafiały się pozycje przyzwoite, które mogły odegrać nawet pozytywną rolę, zachęcić czytelnika do dalszej lektury i to coraz poważniejszych i wartościowych utworów. Ale też wypaczały gusta, ogłupiały, jeśli czytelnik pozostał tylko przy takiej lekturze.

— Nie każdego stać było na wartościowanie, a zresztą nie wszystkim na tym zależało, aby ludzie czytali coraz więcej i coraz lepszych książek.

— To na pewno. Charakterystyczny jest fakt, że wiele takich popularnych książek o bardzo niskim poziomie ukazywało się z nadrukiem: „dla ludu i młodzieży". Ale te zeszytowe powieści były też znakomitym interesem. Pierwszy numer rozdawano darmo. Zaintrygowany czytelnik kupował następny zeszyt. Kosztował niedrogo — 5 gr. Obliczyłem jednak, że cała powieść kosztowała — 10 zł, co przed wojną było niezwykle wysoką ceną za tego rodzaju książkę.

— Czy z tych zainteresowań i badań powstaną jakieś publikacje?

— Tak. W Wydawnictwie Łódzkim leży już dość dawno moja książka pt. „Papierowy bandyta". Jest to książka o szmirowatej literaturze sprzed wojny. Mam w projekcie antologię łódzkiej piosenki ulicznej. Wspólnie z żoną wydajemy — też w Wydawnictwie Łódzkim — książkę o łódzkich ex librisach. I ta ukaże się niebawem, choć powstała później niż „Papierowy bandyta". Myślę również o bibliografii powieści zeszytowej.

— Na stałe pracuje Pan w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego. Czy pomaga to, czy przeszkadza w rozwijaniu Pańskich zamiłowań i w Pana badaniach?

— Raczej pomaga. Tu mam przecież dostęp do wielu publikacji, których nie mógłbym posiadać w swoich prywatnych zbiorach. Zawód bibliotekarza rozumiem bowiem w ten sposób, że jest to człowiek o dużej znajomości piśmiennictwa, który potrafi zainteresować czytelnika wartościowymi pozycjami, a twórcę potrafi nawet zainspirować, pomóc mu w znalezieniu niezbędnych źródeł i materiałów. Zdarza się przecież tak, że wielu ludzi nie wie, co można znaleźć w bibliotece. Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego posiada na przykład zbiory współczesnych komiksów. Kto o tym wie? A przy okazji ciekawostka. Przed wojną wychodził w Łodzi cykliczny komiks pt. „Karuzela". Był to komiks dla dzieci. Sam go zresztą kupowałem. Miał zasięg ogólnopolski i był niezwykle popularny wśród dzieci.

— Jak długo pracuje Pan w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego?

— Już 16 lat.

— Czy to jest zawód, który wybrałby Pan jeszcze raz, gdyby istniała ponowna możliwość wyboru?

— Tak, chociaż moja droga do bibliotekarstwa była zawiła i skomplikowana. Ale to zupełnie inna historia.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

RODZINA MALINOWSKICH

la na mnie krytycznie, ale kiedy powiedziałem z uśmiechem, że ładne wnuczki wyhodowała, huknęła od progu:

— Ładne, ale pan Bóg zapomniał im zapisać majątek! A chłopy nie chcą brać bab bez posagu....

Mówię, że nie jest tak źle i że wszyscy są jej wdzięczni za pomoc w tych trudnych latach.

— Co ja im tam pomogę — śmieje się wyjmując coś z torby — **że te parę orzechów włoskich przyniosę?... A zresztą, proszę pana, mam tylko jednego syna, więc do kogo mam iść? Po chałupkach rajcować nie wypada. A jak ona** — wskazuje na Bogdę — **pójdzie do roboty, to choć mam już 70 lat, prawnuczkę też wychowam, bo to teraz najważniejsza osoba w rodzinie.**

— Babcia teraz zacznie wszystkich pouczać i słówka przekręcać — żartują wnuczki.

— No to co, że przekręcę! Grunt, że wiem i rozumiem, co chcę powiedzieć. Czytać też potrafię i do nikogo po prośbie nie chodzę. Ja tam nie ściorcowna (czyt. wykształcona), **ale dzieci mam ściorcowne! Choćby syn, proszę pana** — zwraca się do mnie — **mógł w to chojeńskie towarzystwo wpaść, ale nie pozwoliłam i wychowałam na człowieka. Nawet kino wybiłam mu z głowy, bo tak się zapatrzył na te kowbojskie filmy, że na lekcjach do nauczycielki paf! paf! strzelał. Dobry jest chłopak, zasłużony, chociaż odznaczeń żadnych nie nosi. Komunista, proszę pana, robotnik z robotnika.**

— Babcia zawsze trzyma za synem — śmieje się pani Bogda

— Nie o to idzie! Ja swoje wiem. Jak byłam na pochodzie 1-majowym na Placu Wolności, to tak nas gnali, że boso biegłam na Zdrowie. Ale tam już nie rozpędzali, śpiewało się „Czerwony Sztandar"... One tego nie rozumieją. Choćby I wojna, wtedy aż za Łęczycę chodziłam boso po kartofle i mąkę. Gdy wracałam, pałkarze zabrali mi wszystko. Z płaczem, z pokrwawionymi stopami przyszłam do domu....

Czy mam potępiać wnuczki dlatego, że mówią, iż było to dawno... i nieprawda?... One urodziły się w nowej Polsce, wyrastały, jeszcze w trudnych, ale jakże innych warunkach; tamte czasy to dla nich historia, nawet przeżycia rodziców są im dalekie i niezrozumiałe. Ale przecież pracują dla tej nowej Polski tak, jak potrafią, służą jej innym czynem patriotycznym — dobrą robotą.

Honorata Malinowska musi już iść do pracy. Babcia Gienia ożywia się i wskazując na nią, mówi:

— A czy ona może mieć do mnie żal, że tak jej wyhodowałam męża? Jak szłam do roboty, to mu zostawiałam rozkazy! ugotować zupę, zmyć podłogę, zacerować skarpetki. Wszystko umie zrobić. Jak były te ciężkie czasy, to nie leżał z gazetą do góry brzuchem, tylko robił, co trzeba, w domu. On jej nawet dziś ugotuje obiad!...

— Ale pranie — wtrącam.

— To już pewnie pani Honorata robi sama, i to w sobotę?

— A jakże, sama, ale w wolną sobotę lub w poniedziałek, kiedy idę na nocną zmianę.

— Z zakupami w sklepach i u rzeźnika też nie ma kłopotów — mówi jedna z wnuczek — **bo babcia ma głowę handlową i jest zaopatrzeniowcem na pół etatu dla całej rodziny...**

Zerwała się burza; deszcz chlupie i siecze wierzchołki drzew, ledwie sięgające balkonu na piątym piętrze. Babcia się martwi, że zostawiła otwarte okna w tym starym domu przy Czerwonym Rynku, gdzie dotąd mieszka. Przez tę burzę rozmowa się nie klei, współczuję wyrwanemu ze snu Józefowi Malinowskiemu, a jednocześnie myślę, że każda taka rodzina, jak ta, u której goszczę, musi mieć jakiegoś wspólnego konika, jakąś pasję. Okazuje się, że wszędzie to samo. Grają w Totolotka.

— Ale wciąż nas oszukują!

— ?...

— No, bo zawsze wystawiają nie te numery, co my...

— Wyrzucanie pieniędzy w błoto — zrzędzi babcia Gienia.

— To czemu babcia daje mi na kupon? — pyta zaczepnie Bogda.

Okazuje się, że babcia pragnie, by wnuczka wygrała „Wartburga". Ostatnio jednak zmieniła poglądy i przestawiła się na „Moskwicza".

Rozmowa się przeciąga, upływa czas, a ja jeszcze nie wiem, jaki jest dzień powszedni tej włókniarskiej rodziny. Mówią, że zupełnie zwyczajny. To znaczy — wypoczynek po ciężkiej, hałaśliwej pracy. Spacer po parku, radio, telewizja, sen.

— A w niedzielę? — pytam.

Ojca wyprzedza w odpowiedzi Bogda.

— Grzybiarze i jagodziarze, proszę pana! Całą rodziną się jedzie do lasu, to jest ucieczka od zgiełku, prawdziwy wypoczynek! A gdy nie dopisuje pogoda, są rodzinne spotkania w domu. Panie przy telewizorze, panowie zaś dyskutują przy stole o polityce i sporcie. Nie daj Boże, żeby zdarzyła się jakaś transmisja z meczu piłkarskiego.

I w tym miejscu wyłazi na jaw tajemnica jedynej, wielkiej pasji mistrza Józefa Malinowskiego. Jest zagorzałym kibicem ŁKS i nawet w tych trudnych dla rodziny latach nie rezygnował z wycieczek na wyjazdowy mecz ŁKS. Prywatnie, orbisowskim autokarem lub samochodem z zakładu pracy. Dziś, kiedy jest mecz w Łodzi, męska połowa bliższej i dalszej rodziny ciągnie na stadion przy al. Unii.

— Jak czuliście się po porażce ŁKS z Ruchem?

— No, jakoś się to przeżyło...

— Tak, niech pan wierzy — wpada w dialog Bogda — **poszli z moim mężem gdzieś w Polskę i wrócili na pogrzebowo.**

Każda rodzina chciałaby czegoś nowego i lepszego w życiu. Malinowscy mają w tej chwili trzy pokoje z kuchnią, ale zamieszkuje je 8 osób. W tym młode małżeństwo z dzieckiem, wspólna kuchnia, przeto trochę nieporęcznie i ciasno! Bogda na razie nie liczy na własne mieszkanie, jest na bezpłatnym urlopie, a zatrudniony w spółdzielni mąż, niewiele zarobi.

Malinowskich czekają jeszcze trzy wesela, choć babcia Gienia ich nie przewiduje. Ma za to życzenie, aby mąż Bogdy wygrał „Wartburga" lub „Moskwicza".

— I żeby ŁKS zdobył mistrzostwo Polski — mówi Józef Malinowski.

Taka jest włókniarska rodzina. Robotniczy rodowód zaczyna się kruszyć. Czy należy tego żałować? Nie, bo życie idzie naprzód, zmienia się Łódź, która nie tylko na włókiennictwie stoi. Nowoczesne hale dziewiarskie „Kalina", „Elta", „Wizamet", przemysł ciężki (obrabiarki), elektronika zmieniają oblicze miasta. Życie rodziny Malinowskich też jest świadectwem tych przemian...

RYSZARD BINKOWSKI

RYSZARD ROSIN

Dalszy ciąg ze str. 1.

Nazwa Łodzi pojawia się po raz pierwszy w dokumencie z 1332 r. wydanym przez Władysława, księcia Dobrzynia i Łęczycy, dla dóbr biskupstwa włocławskiego położonych w ówczesnym księstwie łęczyckim. Ponieważ dokument z 1250 r. dla tegoż biskupstwa nie wymienia jej, sądzono, iż powstała pomiędzy tymi datami. Wspomniane źródła nie dotyczą jednakże identycznych obszarów, pierwszy bowiem mówi o kasztelanii wolborskiej i to dość ogólnikowo, drugi o wolborskim kompleksie majątkowym, którego zasięg terytorialny był znacznie większy od tejże kasztelanii.

Brak wzmianki o Łodzi w dokumencie z 1250 r. nie stwarza zatem podstaw do wysnuwania wniosków na temat jej początków. Zawodne pod tym względem okazały się również kombinacje usiłujące jej założenie związać z osobą Gerwarda, pochodzącego rzekomo z rodu Łodziów, który był biskupem włocławskim w latach 1300—1323. Pewnym okazało się jedynie to, iż Łódź istniała przed 1332 r. i przed tą datą przeszła w ręce biskupów włocławskich. Kiedy została założona — tego nie wiemy. Zależność dziesięcinna i istniejąca tutaj komora celna pozwalają jedynie przypuszczać, że istniała prawdopodobnie już w pierwszej połowie XII w. i początkowo była własnością monarszą.

Wiadomość z 1332 r. dotyczy wsi Łodzi, która znajdowała się prawdopodobnie w okolicach dzisiejszych ulic Źródłowej i Smugowej, blisko źródeł rzeczki zwanej pierwotnie Ostrogą, następnie Starą Rzeką lub Starowiejską Rzeką, a dopiero od początków XIX w. Łódką.

Dobra łódzkie obejmowały ok. 30 km kwadratowych, toteż można było na ich obszarze zakładać nowe osiedla. W latach 1380—1381 powstała wioska zwana Widzewnicą, późniejszy Widzew, a na przełomie XIV i XV w. zaczęły tworzyć się zalążki osiedla miejskiego.

W przeciwieństwie do wielu innych miast polskich, o których początkach nic nie wiemy, dla Łodzi zachowały się aż cztery dokumenty uważane za lokacyjne, mianowicie z 1414, 1423, 1424 i 1433 r. Nadmiar źródeł nie był jednakże pomocą dla badaczy, wręcz odwrotnie, spowodował wiele zamieszania i pomyłek.

Do roku 1931 znano jedynie dwa ostatnie z wymienionych dokumentów i z nimi łączono powstanie Łodzi. Według wyników najnowszych badań nie dotyczą one jednakże założenia miasta lecz odnowienia jego praw, mówią o Łodzi jako mieście już istniejącym. Tego rodzaju renowacje były w czasach przedrozbiorowych zjawiskiem dość powszechnym. Dokonywano je m. in. po pożarach, zniszczeniach wojennych, wstąpieniu na tron nowego władcy, zmianie właściciela lub zaginięciu po-

ROK 1332 i NASTĘPNE

przednich przywilejów. Chociaż właściwe im miejsce w procesach urbanizacyjnych zostało już ustalone pod koniec lat 30 naszego stulecia, m. in. dzięki badaniom prof. dr K. Buczka i prof. dr S. Krakowskiego, wielu autorów nadal mylnie je interpretuje, pisząc, iż są to pierwotne lokacje lub lokacje wtórne wydane dla ośrodków, które utraciły swój miejski charakter. W rzeczywistości należy je traktować wyłącznie jako odnowienie przywilejów wydawanych dla miast aktualnie istniejących.

Bezpośrednio początków miasta Łodzi dotyczą zatem jedynie dokumenty z 1414 i 1423 r. Należy jednak przypomnieć, iż lokacja miasta w dobrach szlacheckich i kościelnych opierała się w tych czasach na dwu przywilejach. Właściwy dokument lokacyjny, wydawany przez władcę, wyrażał przede wszystkim jego zgodę na założenie miasta oraz określał uprawnienia prawno-ustrojowe, zwłaszcza w dziedzinie sądownictwa. Sprawy gospodarcze natomiast poruszał jedynie wtedy, jeżeli to wiązało się ze zwolnieniami odpodatkowymi lub uszczuplaniem dochodów płynących z regaliów, ceł itp. Drugi akt miał charakter umowy pomiędzy właścicielem i mieszkańcami, ustalał ich powinności i uprawnienia, wysokość czynszów, a zatem dotyczył spraw gospodarczo-społecznych.

Do XIII w. proces zakładania miasta rozpoczynało zasadnicze nadanie monarsze, ale znane są przypadki, choć nieliczne, odwrotnej kolejności, np. w Skierniewicach; podobna sytuacja wystąpiła również w Łodzi.

Treść dokumentu z 1414 r. oraz wiadomości innych pozwalają przyjąć, iż już na przełomie XIV i XV w. zaczęło tworzyć się na zachód od wsi Łodzi nowe osiedle. Skupiało się ono wokół obecnego Starego Rynku, na północ od komory celnej położonej koło miejsca, w którym ważny szlak handlowy biegnący z Krakowa przez Piotrków Tryb. i Łęczycę do Gdańska przekraczał Łódkę. W północnej części tego osiedla wybudowano przed 1414 r. kościół; znajdował się on na wzniesieniu, dzięki temu był z dala widoczny dla podróżnych i w ten sposób służył im jako swego rodzaju drogowskaz. Wokół tych trzech punktów, drogi przekraczającej rzekę, komory celnej i kościoła zaczęła osiedlać się ludność rzemieślniczo-kupiecka. Stan zagospodarowania nowo powstającego osiedla był w drugim dziesięcioleciu XV w. już tak zaawansowany, iż kapituła włocławska sprawująca wówczas zarząd nad dobrami łódzkimi mocą przywileju wydanego 15 V 1414 r. uznała jego mieszkańców za mieszczan i stosownie do tego ustaliła ich obowiązki oraz uprawnienia, przede wszystkim wysokość płaconych przez nich czynszów.

Dokument z 1414 r. regulował jedynie sprawy gospodarcze, wewnętrzne pomiędzy właścicielem a mieszkańcami. Dla uznania Łodzi za miasto pod względem prawno-ustrojowym potrzebny był przywilej monarszy. Wydał go Władysław Jagiełło w Przedborzu 29 VII 1423 r.

Dokument Władysława Jagiełły zamyka trwający od kilkunastu lat proces kształtowania się miasta Łodzi i w zakresie spraw prawno-ustrojowych jest najważniejszym aktem w tym procesie. Odtąd jej mieszkańcy nie tylko wobec właściciela, ale na obszarze całego Królestwa Polskiego mogli występować jako mieszczanie i korzystać z uprawnień przysługujących im z tego tytułu.

Tekst dokumentu z 1423 r. dotychczas nie został opublikowany; jedynie w 1934 r. ukazało się jego tłumaczenie, ze skrótami, z łaciny na polski, oparte na XX-wiecznej kopii zawierającej parę pomyłek. Tegoroczny jubileusz stwarza dogodną okazję, aby wraz z innymi źródłami dotyczącymi najważniejszych wydarzeń z dziejów miasta, wydać go drukiem. W tym celu przygotowano nawet na zlecenie Wydziału Kultury PRN m. Łodzi odpowiednią publikację. Starania i troska, jaką otacza ją zleceniodawca, pozwalają przypuszczać, iż nie prędko lub w ogóle nie ujrzy ona światła dziennego.

Dalszy ciąg ze str. 1

ŁÓDŹ 2000

CO BĘDZIE?

Spacerując ulicami Łodzi 1973 roku nie łatwo jest wyobrazić sobie miasto w roku 2000. Oto gotowe jest pierwsze podziemne przejście przy ul. Kilińskiego, a przecież projektanci i planiści myślą już o łódzkim metro. Mamy kilka wiaduktów, budujemy dalsze, a już w niedalekiej przyszłości rozpocznie się budowę pierwszego, trzypoziomowego skrzyżowania u zbiegu ulic Mickiewicza, Żeromskiego i Łąkowej. Mamy już uporządkowanych kilka fragmentów arterii komunikacyjnych, a w pracowniach projektantów narodził się łódzki węzeł komunikacyjny, powiązany z krajowymi i międzynarodowymi autostradami. Łódź przecież leży w środku Polski.

Mówimy: **Łódź jest drugim co do wielkości miastem w Polsce.** Ale powierzchnią Łódź ustępuje innym miastom. Obejmuje ona 214 km kwadratowych, podczas gdy **Kraków** ma powierzchni 219 km kwadratowych, **Poznań** — 228, a **Wrocław** — 293. Nic więc dziwnego, że w **Łodzi na km kwadratowy przypada 3650 mieszkańców,** w Krakowie — 2155, Poznaniu — 2144, a we Wrocławiu — 1876. W tej sytuacji Łódź musi rozwijać się również terytorialnie, gdyż ukształtowane w przeszłości granice nie odpowiadają już współczesnym tendencjom rozwoju miasta.

Przebudowie muszą ulec wyloty tras komunikacyjnych. Na południe — ulicą Rzgowską, która od wiaduktu kolejowego na Chojnach musi stać się dwupasmową autostradą. Podobnie wylot trasy na zachód pójdzie od ulicy Wróblewskiego, omijając Pabianice i Łask. To samo na wschód, na północ. Ale to przyszłość jednocześnie bliższa i dalsza, która dla miasta stała się koniecznością.

Przebudowie muszą ulec też trasy komunikacyjne w samym mieście. Już w przyszłym roku przystąpi się do porządkowania ulicy Głównej i Mickiewicza, tworząc z niej nowoczesną arterię. Porządkować się dalej będzie po wschodniej stronie miasta ciąg ulic Promińskiego, Broniewskiego aż do ulicy Gagarina. Po zachodniej stronie miasta ciąg ulicy Towarowej — między Karolewem i Zgierską. Trzeba rozwiązać wreszcie dalszy ciąg projektowanej Alei Kościuszki, która ślepo kończy się przy ulicy Żwirki. A tam wszędzie, gdzie porządkować będzie się arterie komunikacyjne już dziś trzeba myśleć o następnych przejściach podziemnych, może nie tak eleganckich jak to przy ul. Kilińskiego, ale prostych i funkcjonalnych.

Mówimy często: — **W Łodzi wszystko zaczyna się i kończy na ulicy Piotrkowskiej.** Ale przecież praktyka wielu lat pokazała, że najwięcej działo się i dzieje się — i to jest naturalne — na obrzeżach miasta. Ostatnio dziać zaczęło się i na ulicy Piotrkowskiej. Uporządkowano ją, dano nową nawierzchnię, odnowiono. Powoli zaczyna wyłaniać się przyszłe **CENTRUM** miasta. Do końca bieżącej pięciolatki wybuduje się pawilony łączące wieżowce przy ulicy Głównej, gdzie ulokowane będą sklepy i placówki usługowe. A przyszła pięciolatka powinna przynieść miastu nowy gmach Filharmonii, kina festiwalowe i wielki dom towarowy, wybudowany wzdłuż ulicy Głównej między ulicami Sienkiewicza i Kilińskiego.

W ŚRÓDMIEJSKIEJ DZIELNICY MIESZKANIOWEJ powinny stanąć jeszcze w tym pięcioleciu trzy wieżowce: jeden o dwu tysiącach izb i dwa — po tysiącu izb. Czy do końca 1975 roku ludzie wprowadzą się do tych wieżowców, trudno dziś powiedzieć. Nastąpi to prawdopodobnie z początkiem przyszłej pięciolatki, gdyż wraz ze zmianą technologii budowania łódzkich wieżowców ŚDM, przesunięciu ulegną terminy rozpoczęcia, a więc i ukończenia wszystkich prac.

KRYPTONIM ŁAM

ŁÓDZKA AGLOMERACJA MIEJSKA stała się już pojęciem popularnym i powszechnym. Mówi się jednak najczęściej o ŁAM jako o obszarze, na którym

Fot. J. Głowacki

JERZY WILMAŃSKI

SĄ TRADYCJE!

Określenia: „złe miasto" i „pustynia kulturalna" przylgnęły do Łodzi od dawna i jeszcze dziś zdarza się, że niektórzy ludzie odgrzebują te zestarzałe epitety. Pewno, że Łódź nigdy nie była „Paryżem północy", że rządzący tym miastem — ich predyspozycje intelektualne i artystyczne gusty automatycznie plasowały miasto na określonych pozycjach. Ale przecież kultura to, mimo wszystko, ludzie — którzy ją tworzą. Jak wiadomo łódzka burżuazja przemysłowa kochała się w cukierkowym, wymuskanym portrecie, nic więc dziwnego, że egzystowała w Łodzi w latach międzywojennych spora grupa wyrobników, malujących ładnie konterfekty możnych modeli.

A jednak historię i tradycję łódzkiej plastyki międzywojennego dwudziestolecia wykreśla awangardowa grupa a.r. — nie tamte przesłodzone malowanki.

Podobnie z teatrem. Zarówno wiek XIX jak i początki XX obfitowały w różnego rodzaju rewiowo-kabaretowe teatrzyki. Lecz przecież nie one stanowią o cennych i chlubnych tradycjach teatralnych Łodzi.

Mniej więcej od połowy XIX wieku wzmagały się w Łodzi tendencje zorganizowania stałego zespołu teatralnego. Świadczy to o prężności polskiego żywiołu, o świadomości kulturalnej polskiej inteligencji. Niewątpliwie prekursorem teatru w Łodzi był **Fryderyk Sellin**, który stałą trupę teatralną zorganizował w 1850 roku. Niestety, była to efemeryda.

Próby założenia stałej sceny podejmowane były później, w 1878 roku przez **Józefa Teksela**, potem podobno starania czynił w 1888 roku **Lucjan Kościelski...** Stała scena powstała w 1891 roku pod dyrekcją **Karola Kopczewskiego**. Parę lat później objął ją **Michał Wołowski** — nazwisko i postać w historii teatru dość znaczne.

Grano, oczywiście, różnego rodzaju „kawałki", jak: „Dwóch głuchych", „Bąk za bąkiem", czy „Grzeszki babuni"... Ale przecież w bogatym repertuarze kolejnych dyrekcji łódzkiego teatru znajdowały się także sztuki Szekspira, Schillera, Fredry, Moliera, Bałuckiego... To już był teatr, którego miasto nie musi się wstydzić.

Dość powiedzieć, że w Łodzi, wcześniej niż w Warszawie, wystawiano za dyrekcji Wołowskiego sztuki Hauptmanna, Ibsena i Rostanda.

Nieco wcześniej, w roku 1891 przyjeżdża do Łodzi grać w Teatrze Polskim sama Helena Modrzejewska po sukcesach w Ameryce. Był to — przypomnijmy — ostatni pobyt wielkiej artystki w Polsce. Planowane na rok 1894 występy w kraju zostały zakazane przez carski rząd.

Wróćmy jednak do Wołowskiego, bo przecież w jego zespole rozpoczynał swą piękną karierę teatralną **Aleksander Zelwerowicz**, którego szmat życia i dokonań artystycznych związany jest z Łodzią. Był bowiem dyrektorem łódzkiej sceny dwukrotnie: w latach 1908—1911 oraz 1920—1921, a potem już w Polsce Ludowej grał w Teatrze Wojska Polskiego, w Teatrze TUR (obecnie Powszechny), wreszcie założył tu Państwowy Instytut Sztuk Teatralnych, przekształcony następnie w Wyższą Szkołę Teatralną.

„Łódzkie sezony teatralne" Zelwerowicza zapisały się wielkimi inscenizacjami klasycznego repertuaru — polską prapremierą „Klątwy" Wyspiańskiego, „Horsztyńskim" Słowackiego, „Dziadami" Mickiewicza i „Heddą Gabler" Ibsena...

Chlubne i stare są także tradycje teatru dla mas, czy jak to formułuje Stanisław Kaszyński: „idee teatru dla szerszych kręgów". Bliska tym koncepcjom była filia teatru Wołowskiego na Księżym Młynie jeszcze w roku 1898, potem Teatr Powszechny **Andrzeja Milewskiego**, dalej kontynuacja tych idei przez **Józefa Pilarskiego**, który na scenie przy ul. Ogrodowej prowadził przez sześć lat swój słynny Teatr Popularny. Jak pisze Kaszyński **„pokolenia łódzkiej inteligencji wyrosłe z robociarskich rodzin, z famuł i czynszówek, przeżywały w tych oto teatrach swoje pierwsze zet-**

ŁÓDŹ 2000

poza Łodzią znajdzie się Zgierz, Pabianice, Aleksandrów Łódzki, Konstantynów, Tuszyn, Brzeziny, Koluszki, Stryków, Ozorków, Łask, Zduńska Wola, Głowno oraz 27 gmin wiejskich. Będzie to trzecia aglomeracja w kraju. Ale co stanowi podstawę dla tego tworu?

Konieczność utworzenia ŁAM wynika z **powiązań produkcyjnych**, istniejących w tym układzie przestrzennym, **powiązań przemysłu z placówkami naukowymi i wyższymi uczelniami**, potrzeby **uporządkowania w tym rejonie gospodarczym spraw wody, ścieków i komunikacji.** Zasięg i obszar ŁAM wytyczają istniejące pasma komunikacyjne i zależności gospodarcze, a także konieczność stworzenia szerokiego i sprawnego **systemu rekreacji** dla mieszkańców tego rejonu.

ŁAM daje więc możliwość **koordynacji** wszystkich poczynań w interesie ludności tu zamieszkującej, daje możliwość racjonalnego projektowania i realizowania tych projektów. Będzie więc to twór posiadający własną administrację, której sprawność powinna gwarantować rozwój przemysłowy i społeczny tego rejonu kraju.

I tak Łódź z roku 2000 będzie centrum Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej, wielkim ośrodkiem naukowym, przemysłowym, akademickim i administracyjnym. Będzie tu mieszkać blisko 1,5 miliona osób, z tego prawie 85 proc. w miastach. Obszar — blisko 3 tys. km.

CO ROBIĆ?

Hasło: **Łódź 2000 — nie** jest tylko skrótem oznaczającym konieczność rozbudowy miasta. Łódź stała się miastem przed 550 laty, ale przez 400 lat była to mała mieścina zagubiona wśród borów. **Historia Łodzi przemysłowej** zaczęła się 150 lat temu i nie może się nagle zakończyć. Miastu potrzebny jest rozmach w urzeczywistnianiu zadań bieżących i fantazja — w rysowaniu przyszłości. Ten rozmach i ta fantazja powinna cechować wszystkich mieszkańców Łodzi. Jest to warunek konieczny, bez spełnienia którego piękne plany pozostaną tylko pięknymi planami. A ludzie już dawno odkryli, że „dobrymi chęciami wybrukowane jest piekło".

Łódź 2000 — to również skrót oznaczający radykalną zmianę systemu myślenia. Skrót: Łódź 2000 mieści się w programie **ZBUDOWANIA DRUGIEJ POLSKI.** A jest to program oznaczający pomnożenie posiadanych wartości, zdublowanie — i nie tylko — tego, co posiadamy, dotrzymanie kroku krajom przodującym. A przecież w wielu dziedzinach ustępujemy innym, idziemy wolniej. Stąd też wezwanie do **wydłużenia kroku**, wezwanie do **pośpiechu.**

„Musimy się śpieszyć — powiedział na Krajowej Naradzie Aktywu I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek — **gdyż takie jest prawo naszej epoki. Kto nie dotrzyma kroku postępowi społecznemu, naukowemu, technicznemu, cywilizacyjnemu, ten może bezpowrotnie pozostać w tyle".**

I jeszcze:

„Zawsze i wszędzie pamiętać powinniśmy, iż o przyszłości decyduje w pierwszym rzędzie dobra, wytrwała i wydajna realizacja aktualnych zadań. Najlepsze programy przekształcą się w jałowe fantazjowanie i pobożne życzenia, jeśli nie znajdą oparcia w solidnym, uporczywym, wydajniejszym wysiłku już obecnie".

Mamy w Łodzi śmiałe zamierzenia, choć może jeszcze nie w każdym calu do końca opracowane, choć może jeszcze nie zawsze skonfrontowane z przyszłymi potrzebami. I mamy dużo marnotrawstwa energii, siły, pomysłowości. I trochę niewiary, obawy, że te piękne i śmiałe zamierzenia mogą okazać się tylko naszymi pobożnymi życzeniami. A przecież wszystko zależy od nas, od tego, jak myślimy i jak działamy. Czy starcza nam zapału, energii, pomysłowości i wytrwałości jedynie do planowania, czy też starczy tego i do realizacji.

Śmiały, szeroki i otwarty sposób myślenia powoli, ale coraz trwalej zdobywa sobie prawo obywatelstwa, staje się rzeczywistością. Rzeczywistością też staje się coraz powszechniejsza dobra robota. I to napawa optymizmem. To gwarantuje, że Łódź w 2000 roku będzie naprawdę miastem nowoczesnym, miastem odpowiadającym potrzebom ludzi, wygodnym do pracy i życia. A rok 2000 nie jest taki znów odległy. Pozostało tylko 27 lat.

DŁUŻSZY KROK

Gwarancją jednak nie mogą być tylko ogólne stwierdzenia. To prawda, że pracujemy już znacznie lepiej niż jeszcze dwa lata temu. Oto przykłady:

— **Modernizację Dworca Fabrycznego przeprowadzono w 50 miesięcy** zamiast w planowane 71 miesięcy.

— **Zakłady Mięsne „Teofilów" wybuduje się w 22 miesiące,** zamiast planowanych 24 miesięcy.

— **Przędzalnia Czesankowa „Polanii" powstanie w 31 miesięcy** zamiast 33 miesięcy.

— **Stację Obsługi Samochodów przy ulicy Aleksandrowskiej wybuduje się w 9 miesięcy,** choć planowano wybudować ją w 12 miesięcy.

— **Przejście podziemne pod ulicą Kilińskiego wraz z modernizacją ulic przyległych wybudowano w 19 miesięcy** zamiast w 28 miesięcy.

— **Kolektor sanitarny na Polesiu postawiono w 18 miesięcy,** choć plan przewidywał na jego wybudowanie 29 miesięcy.

Znacznie szybciej zaczęto modernizować ulice, choć tu skracanie czasu niezbędnego na wykonanie pracy jest mylące, gdyż obowiązujące normy są nieprzyzwoicie długie. I życie samo je koryguje, pokazując, że normy te należy już skrócić i dopasować do możliwości przedsiębiorstw budownictwa drogowego.

Wolniej i słabiej pracują jeszcze niektóre przedsiębiorstwa stawiające domy mieszkalne, ale tu podstawowym hamulcem jest brak ludzi do pracy. Taka sytuacja wymaga dalszego usprawnienia organizacji pracy, pełniejszego wykorzystania istniejących rezerw. Wymaga przestrzegania dyscypliny pracy i podniesienia wydajności, lepszego wykorzystania posiadanego sprzętu budowlanego.

Miernikiem postępu w realizacji zadań jest stopień wykonania planu rocznego w określonym czasie. I tak przy budowie **Zakładu Przędz Teksturowanych** w pierwszym półroczu bieżącego roku wykonano 17,1 proc. planu rocznego, ale 43,3 proc. planu prac budowlano-montażowych. Przy budowie wspomnianego już **„Polanii"** wykonano w półroczu 74 proc. planu rocznego, a przy budowie **Wodociągu Sulejów — Łódź —** 80,8 proc. planu rocznego. Jak wynika z zapewnień budowniczych **woda z Zalewu Sulejowskiego jeszcze pod koniec bieżącego roku dotrze do Łodzi.** Pić jej jednak nie będziemy w tym roku, gdyż napełnienie Wodociągu sulejowską wodą posłuży w pierwszym okresie dla sprawdzenia wielu urządzeń, a w tym — prototypowych.

Pracujemy lepiej, ale czy już zawsze i wszędzie dobrze? Nie można na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie i wcale nie dlatego, żeby przy okazji 550-lecia praw miejskich Łodzi nie zakłócić podniosłej atmosfery jubileuszu. Powód jest inny i zupełnie prosty. Chodzi o to, że różne przedsiębiorstwa przywykły do takiego ustalania sobie zadań, aby zachować rezerwy na „czarną godzinę". I jeśli nawet załogi tych przedsiębiorstw dają wiele z siebie i pracują znakomicie, to obiektywnie wcale tak dobrze nie pracują. Mają bowiem możliwość dać więcej. Możliwości tych nie wykorzystują, a więc mimo dobrych wyników pracują nie tak dobrze, jakby się to pozornie wydawało. Jest to zjawisko negatywne, opóźnia bowiem realizację ambitnego programu zbudowania Łodzi godnej XXI wieku.

Sytuację tę dość wyraźnie ilustrują wyniki osiągnięte w łódzkim przemyśle. W pierwszym półroczu tego roku osiągnięto 50,8 proc. rocznego planu sprzedaży wytworzonych towarów oraz usług dla innych zakładów produkcyjnych. Jednakże w ubiegłym roku po pierwszym półroczu przemysł miał wykonane o 0,9 proc. więcej zadań rocznego planu. A przecież plan produkcji i jej sprzedaży był na ten rok wyższy od zadań ubiegłorocznych. Wniosek stąd prosty: cały ciężar wykonania zadań rocznych przypadnie na drugie półrocze. Ale trzeba też pamiętać, że z drugiego półrocza należy odjąć dwa miesiące wakacyjne, kiedy to tempo przyrostu produkcji i realizacji zadań jest wyraźnie niższe, a niektóre zakłady produkcyjne zamykają na głucho swoje podwoje, dając całej załodze urlop, pozostawiając jedynie na posterunku brygady remontowe. Tak więc zadania roczne przypadnie wykonywać w ostatnich 4 miesiącach. A rytmiczna, dobrze rozłożona praca, przy coraz pełniejszym wykorzystywaniu rezerw, jest gwarancją solidnego spełniania stale rosnących zadań. Brak rytmiki w realizacji zadań występuje nie tylko w przemyśle. Dzieje się tak również w budownictwie.

I dlatego potrzeba nie tylko rozmachu w kreśleniu śmiałych planów, ale i rzetelności w ich wykonywaniu. Te dwa czynniki są ze sobą nierozerwalnie związane, są podstawą powodzenia. Od tego zależy, jaka będzie Łódź 2000 roku, bo Łódź tą stawiamy już dziś.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

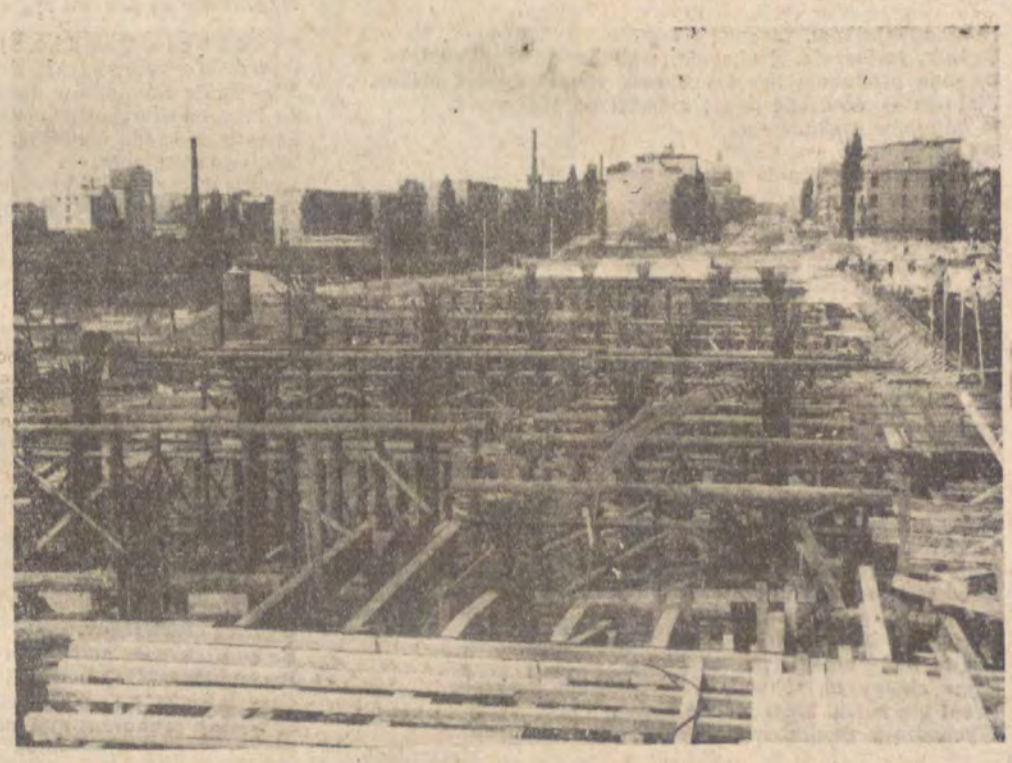

Karol Hiller — Kreślarz (linorut — 1922 r.)

knięcia ze sztuką, ulegały jej fascynującemu urokowi".

Potem na początku lat trzydziestych **Leon Schiller** w Łodzi realizował głośne „Cjankali" Wolfa, a po latach niezapomniane inscenizacje „Krakowiaków i górali" Bogusławskiego, „Burzę" Szekspira, „Celestynę" Rojasa...

I wreszcie szczególny rozdział w kulturalnych tradycjach Łodzi — „Scena Robotnicza" **Witolda Wandurskiego.** Była to zupełnie nowa propozycja artystyczna, w której widział Wandurski szansę zdobycia własnej odrębności przez teatr robotniczy.

Helena Karwacka w swojej cennej pracy o Wandurskim pisze:

„tworząc nowy repertuar (...) zreformował robotniczy teatr, ukształtował jego oblicze ideowe i artystyczne, precyzując zadania, metody pracy, środki wyrazu i formy artystyczne sceny robotniczej, działającej w warunkach ustroju kapitalistycznego. Nie bez racji Władysław Broniewski przyznał Wandurskiemu zaszczytny tytuł pioniera i twórcy teatrów robotniczych w Polsce w okresie dwudziestolecia".

Osobny rozdział łódzkiej kultury to **Muzeum Bartoszewiczów** — początkowo swoista silva rerum od XVII-wiecznych rękopisów poprzez obrazy Norblina, Kossaka, aż po jakieś rodowe relikwie. Ale to był przecież początek pierwszej w Europie kolekcji sztuki nowoczesnej, która na bazie tej placówki powstała dzięki pasjom **Władysława Strzemińskiego i Jana Brzękowskiego, Henryka Stażewskiego.** To dzięki nim już u progu lat trzydziestych Łódź miała w swych zbiorach obrazy Arpa, Witkacego, Picassa, Legera — żeby wymienić tylko najbardziej znanych.

To w Łodzi ukazała się w roku 1934, nakładem prężnej do dziś grupy bibliofilów oraz artystów grupy a.r. pierwsza bodaj zbiorowa książka **„O nowej sztuce"**, zawierająca teksty m.in. **Leona Chwistka, Przecława Smolika i Władysława Strzemińskiego.** To Łódź stanowiła w latach 1932—1937 najbardziej żywy i aktywny ośrodek awangardy literackiej i artystycznej w Polsce.

Są więc tradycje przebogate — literackie, teatralne, plastyczne... Zawsze działały tu wbrew obiektywnym trudnościom tego biednego miasta proletariatu, wbrew tępocie władz, które np. wielokrotnie próbowały zlikwidować unikalną kolekcję sztuki nowoczesnej — mimo tych kłód, rzucanych pod nogi, zawsze w tym mieście trwał ożywczy ferment kulturalny, dążność do osiągnięcia rangi należnej Łodzi.

Łódź ma także bardzo interesującą zapisaną kartę tradycji czasopiśmiennictwa kulturalno-literackiego. Pierwsze tego typu pismo **„Ognisko Rodzinne"** powstało w roku 1899. W roku przyszłym do szeregu łódzkich jubileuszy można będzie dopisać i ten jeszcze — 75-lecie czasopiśmiennictwa literackiego Łodzi. „Ognisko" ukazywało się tylko rok, ale dobrze zapisało się w tradycjach kulturalnych miasta. Drukowało m. in. przekłady Karola Dickensa i E.A. Poe, wiersze Lenartowicza, reportaże ze świata, reprodukcje znanych artystów — Brandta, Ajdukiewicza, Wierusz-Kowalskiego...

Potem już w początku wieku XX — wydawano w Łodzi **„Świat"** — pismo bardziej nowoczesne o daleko szerszym zapleczu wybitnych współpracowników. Drukowali tu Michał Bałucki, Adolf Dygasiński, Gustaw Daniłowski, wybitny językoznawca Jan Karłowicz, Ferdynand Hoesick, Artur Gliszczyński, Jerzy Żuławski, Juliusz Bandrowski.

Jak pisze Wiesława Kaszubina, badaczka dziejów łódzkiej prasy:

„Tygodniki spełniały rozmaite funkcje; prócz zasadniczego zadania przyswajania czytelnikom literatury „swojskiej i obcej" popularyzowały osiągnięcia nauki, reprodukując i omawiając dzieła sztuki, zastępowały wydawnictwa wyłącznie sztuce poświęcone (...) żaden z większych ośrodków prowincjonalnych Królestwa nie mógł się wówczas poszczycić pismem literackim, które dorównałoby poziomem obu omawianym tygodnikom.

Łódzki „Świat" przeniósł się następnie do Warszawy, aby na całe lata stać się pismem o wysokich aspiracjach i na dobrym poziomie — przeznaczonym dla „wszystkich warstw oświatowych w kraju".

A potem, w późniejszych już latach ukazywały się, choć efemeryczne, lecz znaczące na mapie kraju łódzkie czasopisma **„Meteor", „Wymiary" „Osnowy Literackie".** O jakiej tu więc „pustyni" można mówić?

To w Łodzi polscy komuniści w latach trzydziestych

Dalszy ciąg na str. 8

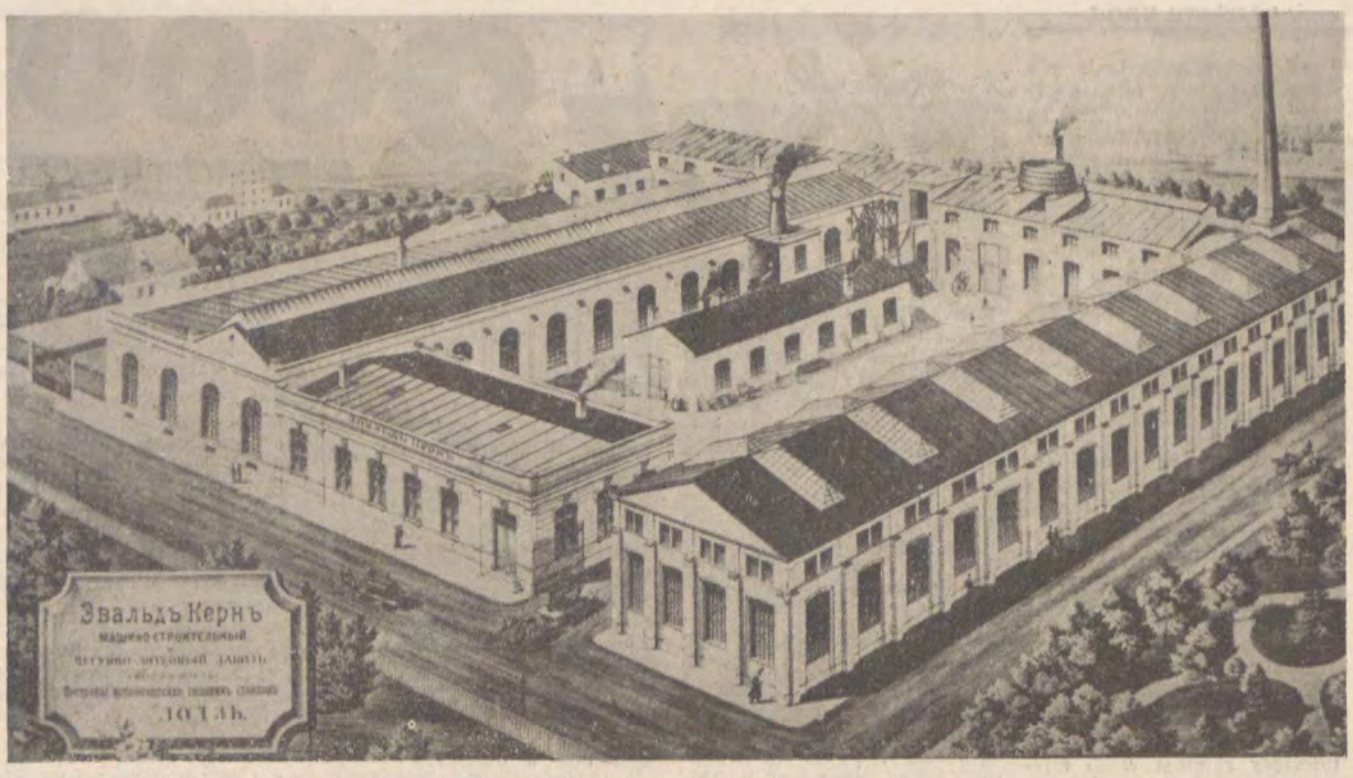

WIMA

Dalszy ciąg ze str. 1

10.000 robotników.
Bielnik, farbiarnia, drukarnia, wykończalnia, składalnia.
Dzienną produkcją przędzy 5 razy ziemię opasać można.
Płótnem — wyścielić drogę z Łodzi do Warszawy.
14 milionów zysku.
800 urzędników.
300 maszyn do pisania zajadle terkoczących.
Najnowsze aparaty.
Olbrzymie laboratoria.
Najmniejsza czynność wyznaczona dokładnie stoperem.
Racjonalizacja.
Biura kalkulacyjne obliczają oszczędność jednej dziesiątej, jednej setnej, jednej tysięcznej sekundy.
Warczące armie maszyn do liczenia.
Sprężysta organizacja. Pierwszorzędni ekonomiści.
Oto:
Lśniący, precyzyjny aparat wyzysku.
„Wima"!

2.

10.000 ludzi dwukrotnie na dobę przekracza bramy fabryczne.
Wchodzą swobodnie, wychodząc podlegają rewizji.
Rewidenci rewidują mężczyzn, rewidentki — kobiety.
Palce mają giętkie — długie.
Oczy psów dbających o pańską własność.
Czuwa nad nimi policja fabryczna.
Same chłopy na schwał, w strażackich kaskach.
Broni nie noszą. Mają mocne pięści.
Wychodzący gorączkowo myszkują po własnych kieszeniach.
Trzeba być ostrożnym.
Kawałek szpagatu, ćwiartka papieru wartości 10 groszy — wystarczające powody zwolnienia.
Prócz stempla — sprawa w sądzie.
10.000 robotników, z których każdy wyniósłby dziennie ćwiartkę papieru za 5 groszy — 15.000 złotych miesięcznie.

3.

150 wypadków dziennie.
2 karetki pogotowia ustawicznie czynne.
Dwóch felczerów poradzić sobie nie może.
Ambulatorium zużywa 1,5 litra jodyny, kilogram maści bornej,
3 kg waty, 200 metrów bandaża dziennie.
78 aut rozwozi gotowy towar.

Bela surowej bawełny w ciągu 15 minut zamienia się na etaminę, madapolam, zefir, satynę.
25.000 koni mechanicznych w ciągłej pracy.
70.000 litrów chloru bieli surowy towar.
1.638 motorów warczy bez przerwy.
Obrót dzienny 800.000 złotych.
Wypłata tygodniowa dwa miliony.
Świadczenia społeczne 100.000 złotych miesięcznie.
30.000 kilogramów przędzy na dobę.
Zarobki robotników — głodowe.
Członkowie zarządu — po dwa auta każdy.
Palić w fabryce nie wolno.
Ustawać w pracy — wzbronione.
Ręce idą na wyścigi z maszynami — drgają rytmicznie.
Rygor wojskowy.
Majstrowie są panami życia i śmierci.

Produkcja. Produkcja. Produkcja
Opornych wyprowadzają strażacy.
Mieszkania robotników duszne i ciasne.
Za fabryką olbrzymi stadion sportowy.
Zawody w każdą niedzielę.
Bezpłatna reklama.
Specjalni urzędnicy kierują robotniczym sportem.
Żerując na zdrowiu pracowników, pozują fabrykanci na Fordów krajowego wyrobu.

4.

Wypłata w czwartki.
15 urzędników rozlicza pieniądze.
Robotnik — przeciętnie 36 złotych tygodniowo, robotnica połowę.
Prezes zarządu — 30.000 złotych miesięcznie.
Dyrektorowie po 15.000.
Żaden z robotników nie przyjmie wyboru na delegata fabrycznego.
Wymówienie — murowane.
Co pięć, sześć miesięcy — strajk.
Łamistrajków bronią strażacy.
W nagrodę dzieci „perelek" przyjmuje się na „czyste" oddziały:
składalnia,
wydział elektryczny.
Robota lekka — płace dobre.
Przywódców strajku wydala się z miejsca.
Cała fabryka pokryta siecią szpiegowską.
Specjalny prokurent stoi na czele defensywy fabrycznej.

5.

Śród robociarzy głód, nędza, choroby.
Nadwątlone płuca, źle funkcjonujące klapy sercowe, reumatyzm, blednica.
Śród młodszych robotnic — prostytucja.
14 milionów zysku.
Turbiny 3.000 obrotów na minutę.
10.000 serc wali wspólnym rytmem.
10.000 pustych żołądków kurczy się miarowo.
20.000 ramion wystukuje orkiestrą wszystkich maszyn fabrycznych.
Produkcja. Produkcja. Produkcja

„Miesięcznik Literacki" 1930.

ZYGMUNT WALIŃSKI

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

NARODZINY MIASTA

Biskupstwo uzyskało akt erekcyjny miasta Łodzi przywilejem Władysława Jagiełły, wydanym w Przedborzu w dniu 29 lipca (dzień św. Marty).

H. Dinter „Dzieje wielkiej kariery"

Gdy król kolnął jak kopią pieczęcią królewską
w pawęż wosku szlachcącą skórę dardanelską
i biskup Pella kartę przed ludem rozchylał
lokationis oppidi, quod antea villa
erat, w dniu Marty skrzętnej, precz goniącej czarty,
i orłów osadzania jak kwoki na karty,
by tam legły pisklęta miast, pośród jarzębin
królewskiej kancelarii — stał się cud: dym sklębił,
chociaż nikt hubki nie tknął; w niebogłos nad wirem
Pilicy — choć wyświęcon — ostry zaśpiew syren
(panien świecących skrzelą i golizną trefną)
przeciął ciszę jakoby halabardą drewno.
Pojrzy w niebo episkop: istny kufer motków,
nad nim słońce przy złotym siadło kołowrotku,
mota. Król spojrzy: słońce nad krosnem schylone
tka z obłoków materię ordą barw sklębione.
Struchlał król, toż wielmoże. Co cuda te znaczą?
Ślą co duch do gwiazdziarzy: niechaj wytłumaczą.
Ci kroczą, czap szpicami górując nad knieje,
dzierżą regiomontana, cyrkle, ptolemeje.
W mowie gwiazd elokwentni, w onejże pytają...
Gwiazdy milczą jak ryby, co głosu nie mają...
I tylko jedna, blada, co za pół milenium
miała błysnąć, zakwili dziecięcym kwileniem,
iż to miasto, dziś małże i trufle pasące,
będzie czynić na ziemi, co tam w niebie słońce.

Gmach obecnej Filharmonii

SĄ TRADYCJE!

Dalszy ciąg ze str. 7

wydawali pismo na bardzo wysokim poziomie — **„Kronikę"**, jedyne wówczas legalne pismo komunistyczne. I ten element łódzkich tradycji czasopiśmienniczych godny jest przypomnienia.

Poetycki zapis Łodzi zaczął się także dawno, bo w połowie XIX wieku gawędą **Wiktora Dłużniewskiego** „Paweł Łodzia-Kubowicz", pierwszym utworem poetyckim, poświęconym miastu.

„Gmachy, jak zamki, zbrojne w maszyny
A w nich jak wieże, wzniosłe kominy;
Gdzie jak namioty w długim szeregu
Gonią się domki w milowym biegu".

„Pisał te słowa człowiek — stwierdza Aniela Kowalska — **wplątany w środowisko dyszące gorączką zbogacenia się i łatwego zarobku gdzie nie stało już miejsca dla rozkwitu idei".** Nie pozostał tu długo. Niedoceniony i chyba nawet szykanowany Dłużniewski opuszcza Łódź w roku 1858.

W jakieś 30 lat później przybywa do Łodzi inny poeta, który w tradycjach miasta pozostanie jako bard łódzkiego proletariatu i jego pracy. **Artur Gliszczyński** — autor tomu **„Z mroku i dymu"**, książki znaczącej w literaturze Łodzi. Poeta, który jako jeden z pierwszych uczynił trud robotnika tematem swoich wierszy.

Na koniec tego niepełnego i z konieczności skrótowego szkicu wypada wspomnieć o wydanej w roku 1935 książce **Ludwika Stolarzewicza „Kultura Łodzi w ciągu jej istnienia".** Nie z racji dokumentacyjnych czy historycznych walorów warta jest ona wzmianki. Przeciwnie. Blisko 400-stronicowa praca Stolarzewicza jest wszystkim, tylko nie przejawem sumienności źródłowej.

Ale jest jedynym do dziś kompendium wiedzy o kulturze Łodzi. Myślę, że u progu 30-lecia Polski Ludowej, w obliczu 550-lecia praw miejskich Łodzi — taka książka powinna powstać. Nie dla erudycyjnego popisu przytaczam więc pod tym ulotnym, dziennikarskim brykiem przypisy. Przytaczam je dlatego, by unaocznić sobie i Czytelnikom, że nawet dla spisania tych paru kartek trzeba było szukać źródłowej informacji w bardzo wielu publikacjach, często zresztą trudno dostępnych. Myślę więc, że obok „Monografii" Ginsberta, obok dzieła Dintera konieczne jest opracowanie leksykonu łódzkiej kultury. Po to, aby nie rozproszyły się nam bogate i chubne tradycje intelektualne i artystyczne Łodzi.

Przypisy:

Jan Brzękowski — „O grupie a.r. i Władysławie Strzemińskim" (Osnowa — 1964)
Tadeusz Chróścielewski — „Dzień wczorajszy Łodzi poetyckiej" (Osnowa — 1966)
Stanisław Dąbrowski — „Występ Modrzejewskiej w Łodzi i odgłosy w prasie" (Prace Polonistyczne — Łódź 1962)
Stanisław Dąbrowski, Jerzy Tynecki — „Teatr łódzki 1895—1900 pod dyrekcją Michała Wołowskiego" (Prace polonistyczne — Łódź 1969)
Wiesława Kaszubina — „Najstarsze łódzkie czasopisma kulturalno-literackie. Szkic historyczno-bibliograficzny" (Prace Polonistyczne — Łódź 1969).
Stanisław Kaszyński — „Przeszłość i teraźniejszość Łodzi teatralnej" (Osnowa — 1965)
Aniela Kowalska — „Quodlibet z żywych obrazów miasta Łodzi Wiktora Dłużniewskiego" (Prace Polonistyczne — Łódź 1969)
Helena Karwacka — „Plakaty sceniczne Witolda Wandurskiego" (Wyd. Łódzkie 1970)
Edward Kozikowski — Łódź i pióro" (Wyd. Łódzkie 1972)
Wanda Lipiec — „Zelwerowicz i scena łódzka" (Wyd. Łódzkie 1960)
Marian Minich — „Szalona galeria" (Wyd. Łódzkie 1962)
Stanisław Mojkowski — „Trzydziesta rocznica „Kroniki" (Osnowa 1964).

JERZY WILMAŃSKI

KONRAD FREJDLICH

Z ŁÓDKĄ w HERBIE

Chociaż słowo Łódź trafiło na karty książki w połowie ubiegłego wieku, ściślej zaś w r. 1853, kiedy to OSKAR FLATT wydał swój słynny dziś „Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym" rzeczywista tradycja literacka przemysłowego grodu zaczyna się czterdzieści lat później. Otwiera ją niedostępna już powieść WINCENTEGO KOSIAKIEWICZA „Bawełna", nieudolny portret żywiołowo rozwijającej się osady, która wkrótce stać się miała drugim ośrodkiem miejskim kraju. Wcześniej nie ma nic, jeśli nie liczyć rymowanego poemaciku o Łodzia-Kubowiczu pióra WIKTORA DŁUŻNIEWSKIEGO, zasłużonego pedagoga, ale niezbyt utalentowanego pisarza.

Choć początki były więcej niż skromne już w roku 1899 doczekała się Łódź powieści, która nieustannie aktualizuje pytanie o książkę stanowiącą wielowarstwowy obraz miasta. Taką pozycją wydawniczą a zarazem symbolem rzeczywistego wkroczenia Łodzi do literatury stała się od razu **„Ziemia obiecana" Władysława Reymonta.** Z jej kart przebija przecież uderzająca wierność realiów, tak w zakresie obyczaju jak nawet topografii, bliska opisowi reporterskiemu dokładność obserwacji. Ale jeśli ponawiamy pytanie o powieść, która łączyłaby w sobie cechy szerokiej, epickiej panoramy i narracji o losach miasta ukazanego poprzez losy żyjących w nim ludzi, robimy to nie tylko dlatego, że na klasyczną już książkę Reymonta musimy spojrzeć dziś jak na dzieło historyczne z epoki fin de siecle'u. Wielki realista, autor genialnych „Chłopów", nie poradził sobie po prostu z tematem w literaturze światowej wówczas zupełnie nowym; nie sprawdził się w powieści o pracy w przemyśle bo nie dostrzegł jej związków z mentalnością robotników fabrycznych. To przecież nie przypadek, że centralną postacią „Ziemi obiecanej" uczyniony został początkujący kapitalista Borowiecki, że częściej zaglądamy wraz z nim do kantorów giełdowych, do modnych restauracji, do salonów gruboskórnych parweniuszy niż na oddziały produkcyjne. Przepychający się łokciami przez życie przemysłowiec zdawał się pisarzowi rzeczywistym bohaterem epoki. A robotnicy? Są w tej książce tłumem jednakowych, anonimowych indywiduów. Można im, co najwyżej współczuć że nie mają dość sprytu, aby z wyzyskiwanych stać się wyzyskiwaczami. Są oni dla Reymonta ciemną choć groźną masą, groźną lecz bezkształtną.

Trudność napisania powieści o Łodzi polega właśnie na tym, **że centralną jej postacią powinien stać się nowy zupełnie bohater,** którego stworzyła epoka industrializacji: wielkoprzemysłowy robotnik. W naszych czasach odpowiedzialność pisarza „porywającego się" na łódzki temat jest jeszcze zwiększona: **powieść współczesna o Łodzi musi być powieścią o pracy, a także w jakimś sensie powieścią polityczną.** Nie jest to zadanie łatwe, jak dowodzą tego liczne próby podejmowane na przestrzeni dziesięcioleci przez pisarzy różnych generacji i różnych orientacji politycznych.

Nie podołał przecież temu zadaniu także **Zygmunt Bartkiewicz,** autor licznych nowel o tematyce robotniczej, znany jednak przede wszystkim ze zbeletryzowanego reportażu **„Złe miasto",** który to tytuł stał się potem na długo zastępczą nazwą Łodzi i był nadużywany przy lada okazji. Umiano bowiem dostrzec fenomen błyskawicznego rozwoju miasta, ale chętniej widziano w tym jakieś fatum niż rzeczywiste procesy społeczne, które ukształtowały Łódź jako ośrodek przemysłowy.

Nawet doświadczenie czerwcowego powstania 1905 r. nie zdołało zmienić tego sposobu widzenia niezależnie od tego, kto chwytał za pióro. Nie sprostał wielkości tematu pisarz tej miary co **Andrzej Strug,** który w **„Dziejach jednego pocisku"** próbuje naszkicować atmosferę zrewoltowanego miasta. Nie brak w tej powieści kart o wielkiej wartości dokumentalnej, ale też są to najlepsze partie książki, którą trudno byłoby zaliczyć do pozycji przedstawiającej wielowarstwowy obraz miasta. Wielowarstwowy, a więc najpełniejszy z możliwych. I znów, kiedy mówimy o porażce, to przecież nie dlatego tylko, że Strug wybrał sobie do penetracji stosunkowo wąski wycinek czasowy rewolucyjnego zrywu w „czerwonym mieście", bo to kolejny synonim nazwy Łodzi często używany w literaturze i publicystyce. Zaważyła raczej wąskość widzenia pisarza, bo chociaż walka klasowa a nawet walka zbrojna robotników stanowi od początku wieku XX zjawisko uchwytne, jak świadczą o tym choćby raporty policyjne z tamtego okresu, to przecież świadomość proletariacka a zwłaszcza ethos klasy robotniczej nie dawały się sprowadzić do samej walki.

Rozumiano to w dwudziestoleciu międzywojennym, które jednak w prozie o Łodzi pozostawiło po sobie stosunkowo nikły ślad. Godne odnotowania są próby **Rafała Lena, Władysława Pawlaka, Gustawy Jareckiej,** ale przecież w porównaniu z problematyką, jaką przyniosła z sobą choćby „Ziemia obiecana" musimy mówić raczej o regresie, choć coraz częściej pod wpływem awangardowego wówczas jako gatunek reportażu, bohaterem literackim staje się robotnik. Proza powieściowa, nawet w próbach najambitniejszych, pozostaje pod wpływami powieści mieszczańskiej. Dostrzega się krzywdę i wyzysk, współczuje uciskanym, ale proza ta nie wychodzi na ogół poza drobnomieszczański humanizm.

Toteż Łódź okresu międzywojennego zostanie odtworzona dopiero po latach na kartach współcześnie powstających książek, w opowiadaniach **Antoniego Kasprowicza,** w powieściach **Honoraty Chróścielewskiej, Edwarda Kopczyńskiego, Józefa Macieja Kononowicza.**

Szczególnie znamienne są próby Kasprowicza, piewcy robotniczych przedmieść, znanych mu z autopsji, bowiem jest, a raczej był jednym z tych, których po latach opisuje. Dokonuje więc w swoich tomach opowiadań „Pod kwitnącym kasztanem", „Złodzieje owoców", „Dzielnica plebejuszów" rozrachunku nie tylko z okresem historycznym znanym jako II Rzeczpospolita, ale także z własną młodością. Są w nich utwory o wyraźnych podtekstach autobiograficznych. A przecież z opisywanej przez niego codzienności wyłania się pejzaż nie tylko łódzkich ulic, ale przede wszystkim topografia społeczna Łodzi ze wszystkimi jej uwarunkowaniami.

Duże walory poznawcze posiada także powieść **Edwarda Kopczyńskiego pt. „Trudne edukacje".** I w tym wypadku mamy powrót autora do stron dzieciństwa, a co ciekawsze obraz miasta zawarty został w świadomości bardzo młodego bohatera, dla którego dojrzałość jest jednocześnie progiem jego doświadczeń politycznych.

Ciekawą próbę podjęła **Honorata Chróścielewska** usiłująca spojrzeć na Łódź oczami dziecka. „Cóżka tego, co tramwaje jego" przynoszą nam więc nieco baśniowy obraz miasta, ale jak w każdej baśni nie brak w tej książce grozy, tyle że jest to groza warunków społecznych.

Mówiąc o przedwojennej Łodzi w literaturze nie można zapominać o pisarstwie **Bernarda Sztajnerta,** który w **„Narodzinach Brunona Bundera"** portretuje Łódź oglądaną oczami bohatera ze środowiska mieszczańskiego, a przecież i w tej powieści nie brak ostrych kontrastów społecznych.

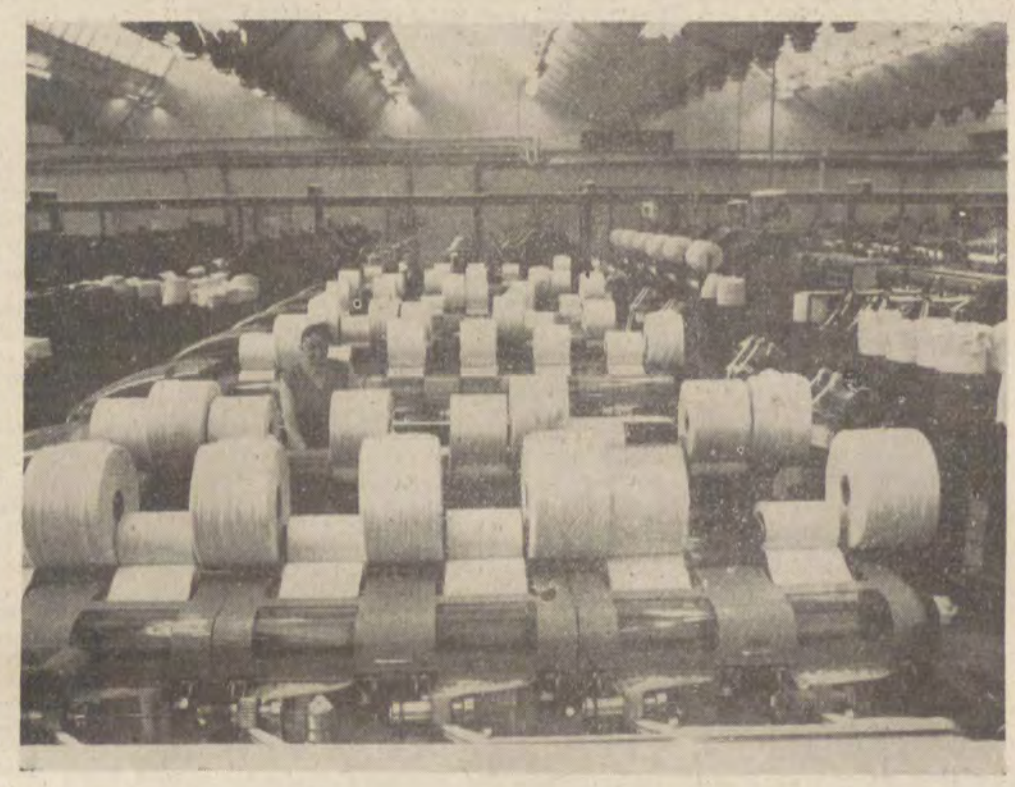

Przy tak wieloaspektowym ukazaniu wizerunku Łodzi okresu międzywojennego musi dziwić stosunkowo nikły ślad w literaturze Łodzi okupacyjnej. Tutaj ciężar przekazu musiały wziąć na siebie zapisy pamiętnikarskie **Grzegorza Timofiejewa, Stanisława Gajka, Adama Kowalskiego,** prozę artystyczną reprezentują natomiast książki wspomnianego już **Edwarda Kopczyńskiego** („Drogi łączyły się w lesie") oraz **Adolfa Rudnickiego,** który w **„Kupcu łódzkim"** usiłuje oddać tragedię ginącego getta.

Znacznie bogaciej i ciekawiej narysowana została Łódź w przededniu wyzwolenia na kartach powieści **Władysława Rymkiewicza „Ucieczka z ziemi obiecanej".** Wydarzenia rozgrywające się w nocy z 18 na 19 stycznia 1945 r. są tutaj nie tylko osnową osobistego dramatu Pawła Gaertlera, syna łódzkiego fabrykanta, ale zostały zużytkowane przez pisarza do sięgnięcia w głąb historii miasta targanego przez całe dziesięciolecia sprzecznościami klasowymi i narodowościowymi.

Pisarstwo Rymkiewicza po tej pierwszej próbie wtargnięcia w tematykę łódzką znalazło w niej swoje przedłużenie pod postacią ambitnego cyklu powieściowego **„Trzystu pod Dobrą", „Widok z Księżego Młyna", „Czas pojedna, trawa porośnie".** Usiłuje w tych książkach Rymkiewicz dokonać próby połączenia ważnych nurtów tradycji określających miejsce naszej współczesnej świadomości narodowej i społecznej poprzez ukazanie zdarzeń tak odległych w czasie jak powstanie styczniowe (1863), bunt łódzki (1892) i powstanie czerwcowe roku 1905. I próbę tę, choć mamy w tej trylogii do czynienia z bohaterem mieszczańskim lub inteligenckim, trzeba uznać za udaną, choć do pełnego sukcesu brakuje przekonywającego psychologicznie wizerunku robotników zepchniętych mimo wszystko do roli tła.

Dopiero **Leon Gomolicki** powieścią **„Białe runo"** dokonał prawdziwego przełomu kreując postać robotnika i usiłując oddać jego mentalność. Ta próba przeszła prawie niezauważona, choć jest to książka wyjątkowo ambitna; bowiem Gomolicki świadomie rezygnuje w niej z tradycyjnej narracji na rzecz wtargnięcia w psychikę pracownika zatrudnionego w produkcji. Nie doszedł do tej formuły powieściowej od razu: poprzedziły ją studia i tradycyjne próby prozatorskie — drukowana w odcinkach powieść **„Lokaut"** i tom opowiadań **„Wieczory nad Łódką",** próba adaptacji bałuckiego folkloru, dzięki któremu pisarz poznaje robotniczy język i obyczaj.

Nie są to zresztą jedyne współczesne książki o Łodzi. Zamieszczona w ostatnim, przed likwidacją, zeszycie „Osnowy" bibliografia pozycji wydawniczych poświęconych robotniczemu miastu przynosi przecież ponad sto pozycji, ale jak się wydaje spośród mnogości propozycji zasługują zwłaszcza dwie ogłoszone w ostatnim czasie, powieści **Andrzeja Makowieckiego i Ryszarda Binkowskiego.**

„Co dzień bliżej nieba" Makowieckiego jest książką o dzieciństwie w powojennej Łodzi, ściślej w mieście lat pięćdziesiątych. W soczystych barwach ukazuje w niej pisarz współczesny koloryt miasta, jego specyficzną egzotykę. A chociaż powieść przedstawia głównie wąskie środowisko wykolejeńców, z którymi spotyka się młody bohater, to przecież dzięki celnej obserwacji wyłania nam się spoza tej zasłony obraz innej, drugiej i już prawdziwszej Łodzi o zmęczonej twarzy, Łodzi robotniczej.

Proces dojrzewania młodego bohatera ukazał także **Ryszard Binkowski** w powieści **„Pójdziesz ponad sadem".** Jest to próba podwójnie ciekawa, gdyż nie tylko akcja książki osadzona została zdecydowanie w środowisku fabrycznym, ale też przedstawia w niej Binkowski nowy typ bohatera: człowieka ze wsi, który szuka realizacji swych ambicji życiowych w wielkim zakładzie produkcyjnym.

Obie te książki dowodzą raz jeszcze, że Łódź stanowi wdzięczny temat literacki, temat, dodajmy, zaledwie tknięty, bo kryją się w nim jak przypuszczam ogromne jeszcze rezerwy. Dopiero bowiem suma książek o Łodzi składa się na jakąś pełniejszą syntezę miasta, nazywanego w przeszłości „Ziemią obiecaną" i „złym miastem", „bawełnianym grodem" i „Czerwoną Łodzią". W każdym z tych określeń tkwi cząstka brutalnej prawdy, ale przecież nie ma jeszcze książki, która potrafiłaby im nie tyle zaprzeczyć, ile znaleźć formułę miasta pełniejszą, w której zawarłaby się i zła przeszłość, i pracowita codzienność i nowe perspektywy.

ZDROWIE - WERSJA DRUGA

Dalszy ciąg ze str. 4

planowana jest na **DZIESIĘĆ LAT** i że mamy w związku z tym masę czasu, toteż — wychwalając pod niebiosa lansowaną przez „Głos" ideę — dałem także wyraz swoim niepokojom, które stały się podobno przedmiotem dyskusji...

Co słychać po roku?

Ano, nie jest znowu tak źle. Coś jak gdyby zaczęło się ruszać. Na placu przy Alei Unii, gdzie było kiedyś Miasteczko Zlotowe oraz na terenie Ogrodu Botanicznego rzeczywiście można spotkać w dni pogodne społeczne brygady pracy. Ubiegłoroczna akcja „Głosu", która polegała między innymi na przyjmowaniu ofert różnych instytucji, gotowych zrobić to i owo dla Parku — zaczęła siłą rzeczy procentować. Są przecież w **Biurze Budowy** imienne listy ochotników, są spisane czarne na białym podjęte przez nich zobowiązania... **WIELKIE ZOBOWIĄZANIA,** wedle wstępnych założeń na powstanie Parku ma złożyć się co najmniej w połowie bezpłatna, dobrowolna praca ludzi, którym w zakresie surowca i maszyn udzieli pomocy (pięćdziesiąt procent wszystkich kosztów) władza miejska, mająca także nadzorować i synchronizować zbiorowe wysiłki.

— Jak jest z egzekucją tych zobowiązań? — pytam dyrektora Parku Kultury i Wypoczynku w Budowie (oficjalna nazwa), **Tadeusza Dwojackiego** oraz jego zastępcę, **Mirosława Obarskiego.**

Jest dobrze — odpowiadają.

— Nikt nie próbuje się wykręcać?

— W zasadzie — nikt. Trzeba jednak pamiętać, że niektóre zakłady borykają się z własnymi trudnościami i nie zawsze mogą zwalniać pracowników do prac społecznych.

— Wydaje mi się, że tempo tych prac jest jeszcze dość ślamazarne.

— Nie wszystko można zobaczyć gołym okiem — mówią dyrektorzy i podają mi kilka przykładów, które brzmią przekonywająco...

W czynie CAŁKOWICIE społecznym młodzież szkolna oraz — przede wszystkim — milicjanci i żołnierze posadzili na Zdrowiu STO TYSIĘCY DRZEW. Jest to kawał pięknej roboty. Jest

Dalszy ciąg na str. 10

„...ZAŚ KONTUSZ ODDALI DO MUZEUM"

Dalszy ciąg ze str. 5

działalności rewolucyjnej, zajmował się tam pracą publicystyczną, w latach 1904 — 1907 był jednym z redaktorów pierwszej saratowskiej socjaldemokratycznej gazety „Priwołżskij Kraj". Po Rewolucji Październikowej nadal był aktywnym działaczem w Saratowie; zmarł w 1941 r.

Oddajmy teraz głos listom J. Marchlewskiego, które ogłaszamy za publikacją M. N. Czernycha zamieszczoną w pracy zbiorowej „Studia z historii polskiego ruchu społecznego XIX — początku XX w. (Moskwa 1971).

I. (MONACHIUM) 22 WRZEŚNIA 1905 R., BANERSTRASSE 18.

DROGI MIKOŁAJU MICHAJŁOWICZU!

Serdecznie dziękuję za Wasz miły list i za dobrą pamięć o mnie! Winien Wam jestem wiele, bardzo wiele i miło mi raz jeszcze serdecznie Wam podziękować. Rozmowy, któreście ze mną wiedli, głęboko zapadły w moją duszę. Bez nich — być może — nigdy nie odnalazłbym drogi. A jak to dobrze bywało! Pamiętacie, jak czytaliśmy Bielińskiego i Pisariewa? Pamiętacie debatę z wielbicielem Tołstoja? Dla Was był to tylko przemijający epizod, ale dla mnie wydarzenie rozstrzygające o światopoglądzie. Takich chwil się nie zapomina!

A więc spróbuję opisać Wam swoje koleje. Kiedy Was wzięli u mnie, trzeba było poszukiwać nowych ludzi, psotnik z piątej klasy stał się po trochu człowiekiem. Ludzie się znaleźli. Kończyłem szkołę realną; jak widzicie, języka rosyjskiego nie nauczyli mnie ani Mawrodiadia, ani Mejsne! Potem poszedłem do farbiarni, zostałem wolontariuszem, a wkrótce zarządzającym małą farbiarnią za Belwederem w Warszawie, a robota szła. Mnie jednak wydawało się, że nie tak, jak trzeba; że należałoby się pouczyć. Postanowiłem udać się za granicę! Wałęsałem się w charakterze farbiarskiego czeladnika po Niemczech i Szwajcarii. Znaczy to: uczyłem się. Zebrania, strajki, książki — cały nowy świat. Za dwa lata wróciłem z powrotem. Pracowałem w Warszawie i w Łodzi, przetrzymałem dwa lata i dostałem się do X Pawilonu. Sprawa wyszła nieszczególnie. Puścili po roku za kaucją, ale aniołowie — stróże objawili, że choć kara niewielka, to jako żem nie rosyjski poddany, wyślą mnie z Rosji. Tu rozpoczyna się moja tragedia: nie uznali mnie za poddanego rosyjskiego, a poddaństwo niemieckie wszak utraciłem, więc jestem niczyj! Ta sytuacja jest bardzo głupia dlatego, że w takim razie nie mam nigdzie prawa do jawnego udziału w działalności społecznej. Ale najpierw posiedzieć u aniołów — stróżów, potem zaś zostać wysłanym, nie chciało mi się, więc wyjechałem. Jednakowoż w X Pawilonie złapałem tyfus, zaś lekarz powiedział mi, bym się dalej nie palił do farbiarstwa, bowiem nie wytrzymam ustawicznej wilgoci. Przyszło szukać czego innego. Pojechałem do Zurichu i zacząłem studiować. Sprawy szły źle, przyszło nieraz głodować. Ale za to swojego Marksa poznałem doskonale. Przez trzy lata napisałem bardzo uczoną dysertację o „Fizjokratyzmie w Polsce" i za tę sztuczkę zrobili mnie „Doctor iuris publici et rerum cameralium". Zdarzyło się to ze mną w 1896 r. Potem pojechałem do Niemiec. Wszedłem do redakcji „Sachsische Arbeiter Zeitung". Było dobrze. Smażyłem wstępniaki, broszury, gdzie się dało. Ale niestety artykuły nie podobały się rządowi saskiemu i poprosili mnie, raba bożego, abym poszedł won. Do Prus nie wpuszczają (a szkoda, na Śląsku możnaby tyle zdziałać!). Więc osiadłem w Monachium. Bawarczycy rozumują rezolutnie: będę tam pisać, gdzie się da, i tak już to znoszą, a i Sasi nie puścili płazem; napiszę artykulik, a w 24 godziny on tak i zostaje wydrukowany w Dreźnie albo Lipsku. No i tak żyję. Były także mniej przyjemne incydenty. Nie wiem, czyście słyszeli, że dawni „proletariatczycy" umyślili się przekoziołkować i ustanowili bardzo zabawny stwór: polską partię, w której plącze się narodowy kontusz i czerwona czapka. Ja będąc „dobrym europejczykiem" nie wytrzymałem, nastąpiła okrutna draka, polało się morze atramentu, jednemu i drugiemu zawiodły nerwy. Ale na koniec nasze wzięło górę: Warszawa i Łódź pozostawiły czerwoną czapkę, zaś kontusz oddały do muzeum. Tego nasi chłopcy dokonali w bieżącym roku. Zuchy, prawda!

Trzeba jednak wspomnieć jeszcze o jednym. Na stare lata ja, stary dureń, zrobiłem oburzające głupstwo. Było to tak. O Parvusie być możeście słyszeli; to jeden z najbardziej utalentowanych publicystów, Rosjanin z pochodzenia, mój dobry przyjaciel. On wymyślił taki kawał. Pisarzy rosyjskich, jak wiadomo, tłumaczą na wszystkie języki, ale poza Rosją nie korzystają oni z praw autorskich. Parvus wymyślił więc taki kruczek, że można wydawać tłumaczenia z rosyjskiego za zgodą autorów tak, aby nikt inny już nie mógł ich publikować. Oznacza to korzyść i dla pisarzy, i dla wydawców. Na tej zasadzie założyliśmy firmę wydawniczą „C-r J. Marchlewski u. Ko. Verlag slawischer Litteratur". Zamiar był świetny: będziemy mieli z tego przedsięwzięcia spory dochód, za te pieniążki będziemy wydawali wielki naukowo-polityczny dziennik, tam będziemy kropili artykuły o sprawie robotniczej i o polityce w pięciu częściach świata. Słowem trybuna na cały świat! Doskonale. A wyszło tak, jak w bajce o chłopie, który szedł sprzedawać jajka i już obliczył, jak za te kopiejki stanie się panem. U nas także jaja się rozbiły i zostaliśmy na lodzie. Bardzo prosto: pomysł był dobry, ale nie było kapitału. I tak to my, którzyśmy w teoretycznej ekonomii połamali zęby, w praktyce wyszliśmy na durniów! Handel nie poszedł, teraz mamy nie dochód, ale długi, zaś dziennik został tylko w naszych głowach. Straciłem na tę robotę trzy lata piekielnej pracy i teraz tylko myślę, jak pozbyć się tego galimatiasu. Oczywiście jednak, jak tylko będzie koniec i „firmę" diabli wezmą, ja po dawnemu zostanę robotnikiem pióra. Zresztą i przez te trzy lata oczywiście nie zarzuciłem pisania, chociaż to diabelstwo porządnie mi przeszkadzało.

Więc cóżby jeszcze? Ożeniłem się zaraz po skończeniu uniwersytetu, żona Polka, jest i siedmioletnia córeczka.

Oto dla Was historia waszego ucznia. Myślę, że uda się jeszcze z Wami zobaczyć. Przeszkoda, jaką w postaci granicy postawiono między Europą a Rosją długo nie wytrzyma, a kiedy raz runie, cała Europa okaże się taka malutka, że ludziom łatwo będzie spotkać jeden drugiego. Gdziebyś nie trafił: do Zurichu, Londynu, Paryża, Amsterdamu, Berlina, zawsze patrzysz — stary znajomy. Oznacza to że i z Wami się jeszcze zobaczę i mocno uścisnę Waszą dłoń. Do widzenia! Wasz

Julian Osipowicz Marchlewski

II. MOSKWA, 9 SIERPNIA 1922 R.

DROGI TOWARZYSZU!

Jestem tym samym Waszym uczniem z kółka na „Zjeździe". Bardzo często Was wspominam i bardzo jestem rad, żeście sobie o mnie przypomnieli. Powiadamiam pokrótce, co się ze mną od tamtych czasów działo: po ukończeniu szkoły realnej poszedłem „na praktykę" do farbiarni. Potem pojechałem za granicę. W farbiarni zaś rozpoczęła się moja praca rewolucyjna: w 1888 r. należałem do założycieli „Związku Robotniczego" w Polsce, w 1891 r. posadzili mnie do warszawskiej Cytadeli. Wypuścili za kaucją, ale że nie byłem poddanym rosyjskim (okazało się, że utraciłem poddaństwo pruskie, a nie nabyłem rosyjskiego), groziło mi, że posiedzę w więzieniu, a potem wyrzucą mnie z Rosji; z tego powodu wyjechałem i przeżyłem na emigracji do 1905 r. Za granicą wstąpiłem na uniwersytet (w Zurichu), a potem przyjechałem do Niemiec i przez cały czas pracowałem w niemieckiej socjaldemokracji, jednocześnie pracując i dla ruchu polskiego. Od 1905 — 1908 pracowałem w Warszawie. Posiedziałem znowu w więzieniu, ale nie zostałem rozpoznany i szczęśliwie mogłem znowu wyjechać do Niemiec. Przez cały ten czas występowałem pod pseudonimem J. Karski. Wojna zastała mnie w Berlinie. Po aresztowaniu Liebknechta w 1916 r. wsadzili także i mnie do obozu koncentracyjnego i dopiero w 1918 r. mnie „wymienili" i przyjechałem do Moskwy. Od tej pory pracuję tutaj: to w polskim biurze CK, to jako „dyplomata", to w „uczebach" i — jak widzicie — czasem popisuję sobie w złym języku rosyjskim. Będę bardzo wdzięczny, jeśli zakomunikujecie mi kilka słów o sobie, a kiedy zdarzy mi się znów trafić do Piotrogrodu, na pewno postaram się z Wami spotkać. Ściskam Waszą dłoń

J. MARCHLEWSKI
Moskwa, Kreml, pok. 45

JÓZEF GRZELAK

J. Dziewałtowski-Gintowt — KOMINY (olej)

ZDROWIE — WERSJA DRUGA

Dalszy ciąg ze str. 9

to również dowód, że zgodnie z deklaracjami budowniczych — powstająca na Zdrowiu inwestycja nie tylko nie zuboży naturalnego środowiska, ale je w poważnym stopniu wzbogaci.

Mając to na uwadze, w dalszym ciągu prowadzę z dyrektorami swój dociekliwy, agresywny dialog:

— Mam nasłuchy, i to często z oficjalnych źródeł, że energia społeczna pracujących ludzi nie zawsze jest właściwie eksploatowana. Są to ludzie, którzy skarżą się, że to, co wykopali tydzień temu, dzisiaj zostało zasypane...

— Nic podobnego. Front społecznych robót, który toczy się przede wszystkim w Ogrodzie Botanicznym, przyniósł ogromne rezultaty i z całym przekonaniem możemy powiedzieć, że do 22 Lipca jedna trzecia tej pięćdziesięciodziewięcio hektarowej oazy będzie kompletnie ukończona.

— W obecnej chwili działalność społeczna polega w głównej mierze na wymachiwaniu grabiami, widłami i łopatami. Ma to zapewne duże znaczenie w pracach wstępnych i porządkowych, ale w większości wypadków przydatniejsi byliby chyba fachowcy, specjaliści i maszyny?

— To prawda — potakuje Mirosław Obarski. **— Nieraz wykwalifikowany cieśla, ślusarz czy stolarz mógłby zrobić dla Parku więcej, niż wielu ludzi. Ale jak przełożyć to na formę pracy społecznej? Oczywiście, gdyby jakiś zakład gorąco tego pragnął, mógłby oddelegować do naszych potrzeb na dwa — trzy miesiące wykwalifikowanego ślusarza czy betoniarza...**

— Ale jak to rozliczać?

— Tak, że byłby on przez ten czas na swojej normalnej zakładowej pensji, a jego koledzy w ramach pracy społecznej postaraliby się, aby zakład nie odczuł zbyt boleśnie tej nieobecności.

— Czy z maszynami też są takie kłopoty?

— Są. Choć kilka zakładów bardzo nam pomaga.

— Na czym to konkretnie polega?

Dyrektorzy wymieniają zasłużone dla sprawy zakłady: **Przedsiębiorstwo Sprzętu Budowlanego i Usług Transportowych** pomaga przy wznoszeniu „Wzgórza Widokowego", zwożąc własnym transportem ziemię oraz wypożyczając Parkowi dźwigi i spychacze do kształtowania terenu. Wartość tej pomocy już teraz wynosi ponad milion złotych.

Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 1 skierowało do Ogrodu Botanicznego jeden ze swoich spychaczy a **Łódzkie Przedsiębiorstwo Robót Telekomunikacyjnych** wydelegowało tam koparkę.

PKS (III Oddział) zajął się przewozem piasku do Ogrodu Zoologicznego i robotami kosmetycznymi, przyrzekając również pomoc w zwożeniu na Zdrowie cennych głazów narzutowych z Niechcic.

Na tym liście **KONKRETNIE** pomagających przedsiębiorstw w zasadzie się kończy. Ale mój sceptycyzm powoli się wykrusza.

Wysiadam z tramwaju i przemierzam wzdłuż i wszerz ogromne połacie Parku. W Ogrodzie Botanicznym panuje atmosfera właściwa wielkiej budowie — szum maszyn, łoskot przesypywanych kamieni. Jest nieprawdopodobny upał. Niektórzy ludzie pracują pilnie, inni dość osowiale, jeszcze inni szukają schronienia w cieniu. Opalenizna kilku urzędników, którzy wspierają się na nieruchomych łopatach, przyprawia mnie o zawrót głowy. Ale część Ogrodu — nie da się ukryć — rzeczywiście wygląda schludnie i okazale: starannie przystrzyżone, pocięte betonowymi chodnikami trawniki, obsadzone najróżniejszą roślinnością poletka, betonowe sadzawki, mostki z ozdobnymi donicami, pierwszy śmiały zarys alpinarium, które rozpościera się na sztucznym, usianym dzikimi krzewami i potężnymi głazami wzgórzu.

Przenoszę się na plac przy Alei Unii. Po Miasteczku Złotowym został tu na pamiątkę uzbrojony teren, rzęsiste oświetlenie elektryczne i parę drewnianych budynków. W jednym z nich mieści się **Biuro Budowy Basenów,** którym kieruje inż. **Andrzej Doliński** z ŁPRI. Kto pracuje pod nadzorem Dolińskiego? Paru Polaków oraz CZTERNASTU RADZIECKICH ŻOŁNIERZY.

Jedni krzątają się w niemal już gotowej niecce basenu o wymiarach olimpijskich, inni pracują na skarpach wykopanej ziemi, jeszcze inni na zapleczu. Doliński mówi:

— Pracują powoli, ale dokładnie, sumiennie. Bez żadnych przestojów. Czy się na nich patrzy, czy nie — zawsze są tacy sami — uczciwi wobec siebie, wobec nas i wobec swoich zadań. Jestem z nich zadowolony. Nie wykluczone, że będę budował wraz z nimi inne baseny i że będzie ich wkrótce CZTERDZIESTU PIĘCIU.

— A ile będzie basenów?

— Trzy normalne, jeden ze sztuczną falą, jeden do nauki pływania oraz trzy brodziki dla dzieci. A potem, za trzy lata, zaczniemy budować inny kompleks basenów przy ulicy Retkińskiej.

— Zadowolony jest pan ze swojej pracy?

— Bardzo. Wiem, że te baseny będą dla łodzian źródłem radości.

Rosjanie też o tym wiedzą. To dobrze, że roztoczyły nad nimi opiekę Zakłady im. Wiosny Ludów, dowożąc im każdego dnia Polo-colę, oranżadę, papierosy...

* * *

Rok temu pisałem:

„Z chwilą, kiedy wyłonią się pierwsze zarysy tej wielkiej, jakże pięknej inwestycji, społeczeństwo momentalnie da wiarę planom i z całym poświęceniem przyłączy się do budowy".

Otóż pierwsze zarysy już są. O tym, żeby nastąpił odwrót z tej drogi, nie może już teraz być mowy.

Mój konstruktywny sceptycyzm zaczyna się powoli rozwiewać.

Wylansowana przez **„Głos Robotniczy"** idea staje się w Łodzi wszechobecna, aczkolwiek daleko jeszcze do powszechnej euforii czynów społecznych. Legendę Parku spotkać można w wielu instytucjach i na ścianach śródmiejskich domów. Nawet tramwaje obwożą po mieście wielobarwne makiety i nawołujące do pracy hasła...

W dalekosiężnych i ambitnych planach nic się w zasadzie nie zmieniło. Nie będzie wprawdzie obserwatorium astronomicznego, ale przewiduje się budowę delfinarium. Wedle drugiej wersji — Go-karty i Szkoła Ruchu Drogowego przeniesiona zostanie na rubieże, tak, aby spaliny i hałas nie zakłócały ludziom spokoju. Ogród Dziecięcy, który miał być pierwotnie przy Alei Unii, przeniesiony zostanie w głąb Parku. Nowym elementem programu jest także filia Ogrodu Zoologicznego, która budowana będzie na „konstantynowskim" krańcu Zdrowia. W 1975 roku rozpoczną się prace na terenie Wesołego Miasteczka.

I to byłoby na razie wszystko.

Wierzę, że przez najbliższy rok budowniczowie Parku nie spuszczą z tonu. Za rok znowu pojadę na Zdrowie, które znam przecież jak własną kieszeń i w którym żadna korzystna czy też niekorzystna zmiana nie ujdzie mojej uwadze. Nie należy tego traktować jako groźby. Jest to raczej wyraz mojego sentymentu dla Parku, który był, jest i na zawsze pozostanie zielonym wspomnieniem dzieciństwa.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SPRAWY DNIA DZISIEJSZEGO

KAŻDY KŁOS...

Przed naszym rolnictwem kampania o doniosłym znaczeniu gospodarczym i politycznym. Co roku pisząc o żniwach używamy tego określenia — „kampania" — słusznie, bo skoordynowany, zbiorowy, ściśle określony w czasie wysiłek tysięcy ludzi pracujących w rolnictwie przypomina wojskowe batalie. A więc kampania, która musi być wygrana.

Plony w bieżącym roku zapowiadają się wysokie. Od dwóch lat osiągamy nie tylko sukcesy w gospodarce, ale również dynamiczny postęp w rolnictwie. Najbliższe miesiące zadecydują również w dużym stopniu o stworzeniu podstaw do dalszego rozwoju gospodarki żywnościowej i utrzymaniu wysokiej dynamiki rozwoju produkcji zwierzęcej.

Problem nr 1 to żniwa — terminowy, staranny sprzęt zbóż. Ale nie tylko, gdyż trzeba wykonać jeszcze wszystkie niezbędne prace, aby zebrać w bieżącym roku jeszcze jeden plon: roślin pastewnych. Tylko odpowiednio duży areał upraw popłonowych, drugi pokos traw, pozwolą na zgromadzenie na okres zimy niezbędnych zapasów paszowych. Niemal jednocześnie z powyższymi zabiegami agrotechnicznymi rozpoczną się przygotowania do jesiennych siewów. Sprawa nie mniej ważna, bo od przebiegu tej akcji (szczególnie znaczenie ma tu właściwa struktura zasiewów np. więcej jęczmienia kosztem mniej wydajnego żyta) zależeć będą przyszłoroczne plony.

W ostatnich latach kierownictwo partii i państwa poświęcają rozwojowi rolnictwa i przemysłu spożywczego wiele uwagi. Wpłynęło to w sposób widoczny na techniczne wyposażenie rolnictwa. Jest to jednak proces dopiero otwarty. Ogromny wysiłek państwa w tym zakresie wymaga czasu. Dzisiaj w wielu wypadkach trzeba jeszcze sięgać po żniwiarkę konną, po kosę. Z tego faktu trzeba sobie w pełni zdawać sprawę.

Żniwa — to najtrudniejszy okres w rolnictwie. Przez te kilkanaście dni czas ludzi i maszyn liczy się podwójnie. Potrzebny jest w tym okresie maksymalny wysiłek każdego pracownika rolnictwa i niezawodne działanie instytucji obsługujących rolnictwo. Staranne zebranie plonów to obowiązek obywatelski. Rolnicze plony, to dobro ogólnonarodowe. Ta świadomość podczas żniw musi towarzyszyć wszystkim.

Przygotowania do żniw skupiły na sobie uwagę na wszystkich szczeblach zarządzania w całym kraju. **10 lipca Biuro Polityczne KC PZPR** zaleciło instancjom i organizacjom partyjnym, wszystkim ogniwom aparatu partyjnego skoncentrowanie swych działań w najbliższych tygodniach na udzieleniu rolnictwu maksymalnej pomocy, a zwłaszcza sprawnej pracy maszyn.

* * *

W bieżącym roku odstąpiono od praktyki powoływania sztabów i zespołów żniwnych. Za sprawny przebieg prac odpowiedzialni są dyrektorzy PGR, przewodniczący spółdzielni produkcyjnych, kierownicy baz maszynowych, dyspozytorzy kółek rolniczych, kierownicy jednostek gospodarczych i administracyjnych. Odpowiedzialność jest personalna, zgodna z zasadą jednoosobowego kierownictwa. To bardzo słuszna decyzja. Wiadomo kto i za co odpowiada.

Wiadomo też za co odpowiada w naszym województwie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Mechanizacji Rolnictwa i Państwowe Ośrodki Maszynowe w każdym powiecie. Rozmawiam na ten temat z dyrektorem naczelnym WZ PMR mgr inż. **EDWARDEM MALCEM** i dyrektorem technicznym inż. **ZBIGNIEWEM NIEDZIELSKIM.**

Jak co roku od dwudziestu prawie lat przed WZ PMR i POM stoi jedno zadanie: przygotować sprzęt do akcji, zapewnić jego bezawaryjną pracę podczas prac żniwnych. Proste to i łatwe do sformułowania zadanie. Wcale niełatwe w realizacji, ale wiadomo od lat, że na pomowców w trudnych chwilach zawsze można liczyć. Szczególnie w ostatnich latach, kiedy to zakłady mechanizacji rolnictwa w województwie łódzkim przeszły gruntowną modernizację, stając się nowoczesnymi przedsiębiorstwami wielozakładowymi, wyposażonymi w odpowiednie środki techniczne, z ofiarną i wysoko kwalifikowaną kadrą pracowniczą. To jednak obszerne i oddzielne zagadnienie. Wracamy do żniw, do ostatnich przygotowań.

Dla inżynierów Malca i Niedzielskiego to pierwsze żniwa, w których będą brać udział jako szefowie WZ PMR. Nie czują jednak specjalnej tremy, bo mimo iż młodzi, trzydziestoparoletni i w dyrektorskich fotelach zasiedli niedawno — to bez przesady można ich nazwać starymi wygami mechanizacji. Od lat bowiem z powodzeniem pełnili kierownicze funkcje w Zjednoczeniu i stąd te awanse.

Odpowiedzialność personalna za stan zaplecza technicznego wcale ich nie peszy. Uważają to za słuszne, za normalne. Nie działają jednak osamotnieni. Mimo braku oficjalnego sztabu żniwnego zarówno na szczeblu wojewódzkim jak i w powiatach istnieje ścisła koordynacja prac z wszystkimi instytucjami pracującymi na rzecz rolnictwa: Wojewódzkim Związkiem Kółek Rolniczych, WZ PGR, WZGS, „Agromą". Podobnie jest na najniższym szczeblu, w gminach, w rejonach, na które zostały na czas kampanii podzielone powiaty.

Jak jest przygotowany sprzęt do żniw? Przeglądamy zestawienie meldunków na dzień 7 lipca. W POM-ach całego województwa znajdują się w różnego typu naprawach 373 ciągniki. Niby sporo, ale stan ciągników wynosi bez kilkunastu sztuk 10 tysięcy. A więc dobrze, tym bardziej, że do „wielkich żniw" jeszcze około dwóch tygodni. Snopowiązałek jest w naprawie 13, na stan ponad trzy tysiące. Pozostałe maszyny: kosiarki, prasy do słomy, młocarnie, silniki spalinowe też w podobnych proporcjach.

„Nie byłoby z naprawami żadnych problemów — słyszę — gdybyśmy mieli do dyspozycji pełny asortyment części zamiennych". Na poparcie swoich słów pokazują mi obszerne zestawienia, ile i czego brak. Inż. Niedzielski dodaje jednak obiektywnie, że jest poprawa w porównaniu z rokiem ubiegłym.

„Nie ograniczamy się tylko do nacisku na „Agromę" i innych interwencji — mówi dyr. Malec — ale radzimy sobie sami. Np. przez regenerację części, którą wykonuje POM specjalistyczny w Rąbieniu za kilka milionów złotych rocznie. Deficyt płócien do snopowiązałek w ilości ok. 800 sztuk pokryjemy we własnym zakresie. Ich produkcje podjęły POM w Radomsku i Zapolu".

Niektóre kółka rolnicze zwlekają też z naprawami do ostatniej chwili. Znowu lista, chociaż na szczęście nie tak długa. Odnotowuję tylko KR Kruszynę w pow. radomszczańskim, które dopiero 28 czerwca dostarczyło do remontu 3 snopowiązałki.

Z przygotowaniem sprzętu nie było więc specjalnych problemów. **Ale jak będzie w samej akcji?**

Z rozmowy wynoszę wrażenie, że w tym ośrodku dyspozycyjno-kontrolnym docenia się ogromną wagę tegorocznej kampanii, że zostanie zrobione wszystko co nakażą potrzeby chwili. Po pierwsze, całodzienne dyżury, od siódmej do dwudziestej, pogotowi technicznych, których jest ponad 80 i magazynów. Uruchomiono nawet na okres żniw sprzedaż części w filiach„ czego się zwykle nie prowadzi. Zakład Naprawczo-Produkcyjny w Żdżarach zaopatrzył POM-y w odpowiedni zapas pomp paliwowych, do szybkiej wymiany na wypadek awarii. Opracowano harmonogramy dowozu paliwa 28 cysternami do KR i MBM. Uzupełnia się zapas „wypra-

wek" do kombajnów, których jest w województwie prawie trzysta. (I wszystkie w pełnej gotowości). Kombajny są zresztą pod szczególną opieką Zjednoczenia. W każdym powiecie dla ich obsługi wydzielono specjalne pogotowie techniczne. Korzystając z doświadczeń ubiegłorocznych zdecydowano stosować przerzuty najwyżej w ramach województwa.

Należy tu jeszcze wspomnieć o serwisach technicznych „Agromy" i poszczególnych fabryk — producentów sprzętu rolniczego. W razie potrzeb będzie on kierowany do powiatów poprzez dyspozytora Zjednoczenia.

Żniwa będą też pierwszym egzaminem dla nowo powstałych Spółdzielni Kółek Rolniczych. Do czerwca br. powstało ich w województwie łódzkim 9, następne powoływane będą po kampanii. W swoich rejonach działania SKR przejmują całkowitą odpowiedzialność za pracę sprzętu w ścisłym współdziałaniu z POM.

* * *

Oceniając proporcje między ilością posiadanego sprzętu przypadającą na ok. 580 tys. ha zbóż, trzeba stwierdzić, że stopień zmechanizowania prac jest jeszcze niewielki. Z dużym przybliżeniem można powiedzieć, że około połowy zbóż będzie można zebrać sprzętem mechanicznym. Pozostały zaś areał — w połowie sprzętem konnym, w połowie ręcznie. Te proporcje warunkować będzie pogoda. Jak na razie szacuje się, że burze i deszcze powaliły ok. 10 procent upraw. Wniosek z tego jeden, ale zasadniczy: **POSIADANY SPRZĘT MUSI BYĆ MAKSYMALNIE WYKORZYSTANY**, organizacja pracy musi być wzorowa, wszystkie możliwości własne i wynikające ze współpracy zainteresowanych jednostek — w pełni wykorzystane. Dotyczy to zarówno pomocy PGR dla rolników indywidualnych, jak i najprostszych form pomocy sąsiedzkiej.

„Każdy kłos na wagę złota" — to nie slogan propagandowy. To gospodarski obowiązek, to sprawa społeczna, to nasz chleb.

JERZY WAWRZAK

PORT PÓŁNOCNY (Fotografia)

EUGENIUSZ KUDAJ po raz dwudziesty wystawia swoje fotogramy na indywidualnej wystawie. Tym razem tematem zdjęć fotoreporterskich stało się Wybrzeże Gdańskie, a głównie Port Północny. Kudaja przede wszystkim interesują ludzie, ich wysiłek w przekształcaniu przyrody. Interesuje go też pejzaż wielkiej budowy. Z aparatem fotograficznym zawędrował więc i na budowę Portu Północnego, rafinerii, a także do Stoczni Gdańskiej. Swojej wystawie dał tytuł „Gospodarka morska".

Trzydzieści fotogramów Eugeniusza Kudaja mogli łodzianie obejrzeć w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Dalej obejrzą je mieszkańcy Pabianic, Piotrkowa Tryb. i innych miast województwa łódzkiego.

Eugeniusz Kudaj od 20 lat wędruje z aparatem fotograficznym nie tylko po Łodzi. Ale głównie Łódź i zachodzące w niej przemiany są przedmiotem jego fotoreporterskich zainteresowań. Przez te 20 lat najpierw współpracował z CAF, a od 17 jest stałym pracownikiem „Expressu Ilustrowanego". Brał udział w wielu wystawach ogólnopolskich i międzynarodowych, zdobywając tam nagrody i dyplomy uznania. W 1962 r. w Budapeszcie otrzymał jedną z nagród na „Interpress — Foto". W 1970 roku jedno z jego zdjęć znalazło się w albumie 80 najlepszych fotoreporterów świata.

M. R.

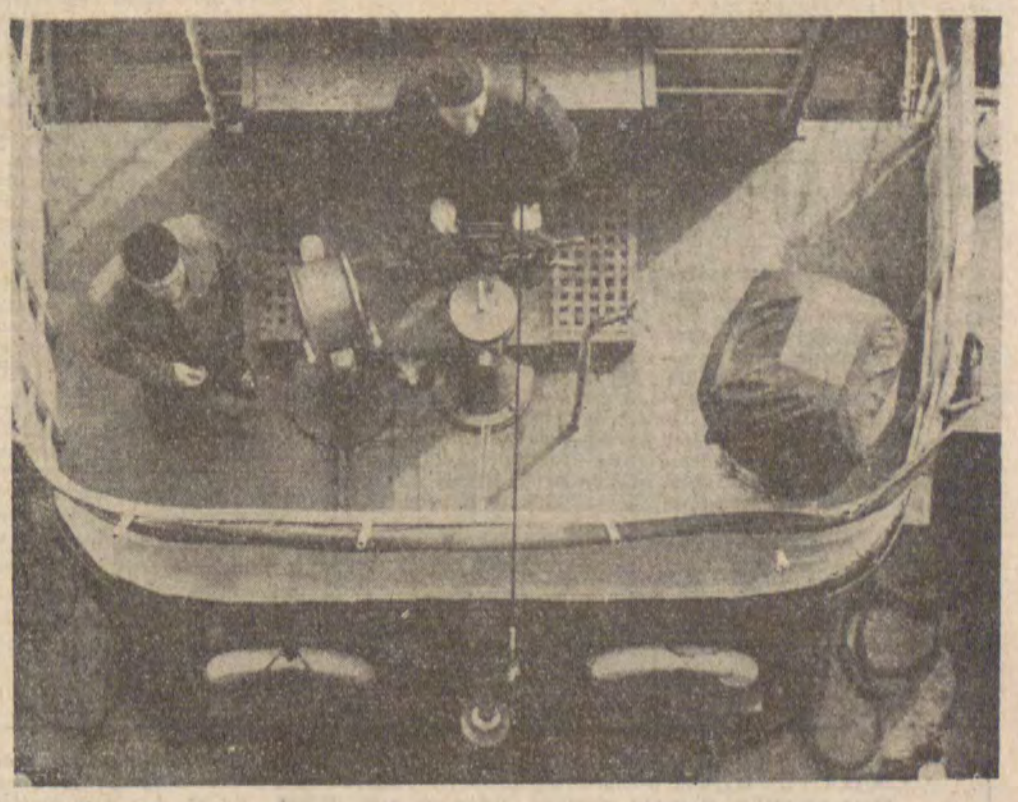

Zdarzeni A · I · Zwierzeni A

ŁÓDŹ XIX-WIECZNA

Sporo się ostatnio mówi o 150-leciu Łodzi Przemysłowej w związku z Wielkim Jubileuszem 550-lecia praw miejskich. I tak się jakoś dzieje, że ów Wielki Jubileusz przyćmił nam Jubileusz Mniejszy. Jest to właściwie normalne bowiem kto ma tzw. Dużą Maturę nie podtrzebuje się chwalić Małą Maturą.

Tylko, że moim zdaniem dla miasta, dla jego tradycji, dla tworzenia atmosfery zwanej lokalnym patriotyzmem — ta właśnie Mała Matura, ten właśnie jubileusz 150-lecia Łodzi Przemysłowej jest bodaj czy nie ważniejszy od gestu króla Jagiełły sprzed 550 lat.

Przecież tamten królewski gest nadania praw miejskich nic właściwie istotnego w historii Łodzi następnych wieków nie zmienił. Albo zmienił niewiele. To przecież dopiero rozwój przemysłu przed 150 laty zaczął w dziejach miasta i jego kultury tworzyć nowe wartości. Dlatego uważam, że ten Mały Jubileusz jest dla Łodzi ważniejszy.

Lecz chociaż sporo nawet mówi się o owym 150-leciu łódzkiego przemysłu to wciąż brak nam obrazu tamtych lat, jak ludzie żyli, jaki był ich dzień powszedni.

Niech mnie nie gromią historycy — ja wiem, że wiele jest na temat owego okresu opracowań rzetelnych i źródłowych... Tylko, że są to oczywiście — prace naukowe i trudno przypuszczać, żeby przeciętny łodzianin mógł po nie sięgnąć. Brak natomiast p o p u l a r n e g o dzieła o tych prawdziwych początkach dzisiejszej Łodzi.

A są to naprawdę sprawy pasjonujące, choć na pewno marginesowe z punktu widzenia historyka.

Na przykład to jakie papierosy palili łodzianie przed stu laty. Otóż takie — Sobieski, Zabawa, Afrykanka i Kometa. Bardziej egzotyczne były natomiast nazwy cygar — Los Amigos, El Nevasa, El Indio oraz... Romeo i Julia.

Zostawmy jednak drobiazgi. Oto wiosną 1884 koncertuje w Łodzi nie byle kto, bo sam Pablo de Sarasate. Ówczesny recenzent tak pisze o tym koncercie:

„Czarujący obie półkule ziemi mistrz-skrzypek zawitał i do naszego fabrycznego zakątka. Snać nie mamy już złej noty pod względem muzykalnym, dowodzi tego fakt zapełnienia teatru po brzegi przez publiczność najwykwintniejszą (...) Przyznajemy, że Sarasato to istotny czarownik (...) Nadzwyczajnym mechanizmem, nieskalaną czystością intonacji i cudowną pieszczotliwością dźwięków dobywanych ze swych arcypięknych skrzypiec, rozlewa na słuchaczów nieopisany czar i urok, wprawiając ich w zachwycenie".

No cóż — potrafili się wówczas recenzenci egzaltować sztuką artysty. W dzisiejszych sprawozdaniach z koncertów czytamy nieraz zagadkowe opinie, że „drewno nie współgrało z blachą". Swoją drogą wolę owe dziewiętnastowieczne egzaltacje.

Zainteresowanie łodzian budziły także i zupełnie lokalne sensacje. Oto donosi „Dziennik Łódzki":

„Przechodząc w tych dniach ulicą Piotrkowską spostrzegliśmy zbiegowisko przy jednym z domów w bliskości ulicy Cegielnianej. Na zapytanie co by to oznaczać miało, objaśniono nas, że zebrano się tak licznie, aby przeszkodzić wyjazdowi jednego z kupców, który miał zamiar ulotnić się wraz z towarem".

Albo na przykład miotane gromy w polemicznym artykuliku na jakiś petersburski dziennik, który o Łęczycy napisał, że mieści się ona w guberni Płockiej. Jak wiadomo i Łódź i Łęczyca należały do guberni Piotrkowskiej. Takie to były spory w one lata...

Do zadumy natomiast skłaniają nas ówczesne... kłopoty z telefonami. Dziewiętnastowieczna Łódź (a przynajmniej część jej mieszkańców) narzeka na „pewne niedogodności" jak np. „niemożność ustalenia numerów telefonicznych tak bardzo upraszczających żądanie od centrali połączeń". Jako żywo nie mam pojęcia jak się wówczas łączono skoro telefony nie miały numerów.

Sensacją XIX-wiecznej Łodzi była też tzw. Stacja Doświadczalna, ówczesny odpowiednik naszego Sanepidu. Już wówczas alarmowano, że „wody studzienne są w Łodzi po większej części nie do użycia, silnie zanieczyszczone przesiąkami fabrycznymi". Jak więc widać dość dawno zaczął się naczelny obecnie problem ochrony naturalnego środowiska.

Słowem — ta Łódź XIX-wieczna hodowała problemy i kłopoty podobne naszym. Nic więc dziwnego, że właśnie ta Mała Rocznica aż się prosi o pełniejszą, p o p u l a r n ą monografię.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN **FRYZURY**

LEWYM OKIEM!

NA DOLE KOMNATA

Cztery wieki temu, a dokładnie siedemnastego maja 1572 roku, Maciej Kiepkowicz i Marcin Szczepan Włodarczyk podpalili „dla wziątku", czyli w celach rabunkowych jeden z drewnianych oczywiście domów w malutkim miasteczku, zwanym Łodzią. Od tego podpalonego zajęły się sąsiednie i poszło z dymem 32 domostwa. W miesiąc później z niewiadomych przyczyn spaliło się jeszcze dziewięć, w sumie więc równa połowa osady zamieniła się w zgliszcza i popioły. Wyczytał to w księgach miejskich ksiądz Muznerowski i opisał w 1922 roku w książeczce pt. „Przyczynki do monografii Łodzi".

Miasto liczyło bowiem wówczas około osiemdziesięciu domów, w tym sześć karczem, z czego wynika, że ilość miejsc w lokalach zbiorowego żywienia na tysiąc mieszkańców była mniej więcej tysiąc razy większa od dzisiejszej. Znamy nawet nazwiska ówczesnych obywateli: Dupka Kołodziej, Katarzyna Wdowa, Krawcowa Paskuda, Klimek Czarny. Po wspomnianych pożarach musiano znów odłożyć na później budowę ratusza, chociaż odpowiednie akty prawne — zezwolenia władz — były już wydane. Zubożali mieszczanie nie mieli za co podjąć budowy. Wreszcie sięgnęli do prywatnej inicjatywy: sprzedali prawo budowy ratusza jednemu z obywateli razem z koncesją na jeszcze jedną knajpę w urzędowym gmachu.

„Naprzód zezwoliliśmy temu to Doczekałowiczowi Maciejowi — zaprotokółowali rajcy miejscy naszego grodu pod datą 12 kwietnia 1585 roku — ratusz na placu na to wydanym śród Rynku pobudować, który swym kosztem i nakładem budować ma jako najgruntowniej i ochędożniej może: na dole izba wielka, z niej kownata, sień, stajnia, na górze letnie siedzenie, izdebka. W tym to ratuszu nam będzie wolno odprawować, czego on bronić nie ma ani może".

Na dole komnata, zajazd, stajnia, wyszynk, na górze izdebka do urzędowania miejskiej rady. Nadal więc władze popierają gastronomię, same zadowalając się skromnymi warunkami pracy. Ale to było dawno, a poza tym — nie chcemy przecież streszczać własnymi słowami, na użytek jubileuszu miasta, całej jego historii.

Jest w tej historii dosyć zdarzeń patetycznych, dosyć też smakowitych anegdot na niejeden film. Do literatury Łódź wielkiego szczęścia nie miała, nie została po niej legenda taka jak wokół Warszawy, Krakowa, Gdańska, Torunia czy nawet miast znacznie mniejszych. Ale nawet taki jeden a duży rodzynek, jak „Ziemia obiecana" Reymonta — czy to nie prawie gotowy filmowy scenariusz? A niektóre wątki z „Dziejów jednego pocisku" Struga?

Hasło: „Chcemy filmu o Łodzi!" — rzucił właśnie „Głos Robotniczy". Powinno ono znaleźć i jesteśmy pewni, że znajdzie, realny odzew. Podbudowano je dużymi słowami o naszej „ziemi, która stała się zaczynem ożywczych fermentów", co budzi niejakie obawy przed zbytnim a zgubnym przedobrzeniem prób filmowych w stronę patetycznego, egzaltowanego eposu. Ale — kto wie — może by się znalazło miejsce i na komedię? Na zwykłą, ale koniecznie bardzo śmieszną komedię, pełną małych realiów, które są właśnie najbardziej mitotwórczym, najsilniejszym stymulatorem naszego stosunku do świata?

O Łodzi pisano mało, a to co pisano było zawsze pełne powagi, patosu, heroizmu i rewolucji. Nikt się jeszcze nigdy z Łodzi nie pośmiał, ani też nikt nie pokazał uśmiechniętych łodzian. Ani tamtej „stolicy mimo woli" z pierwszych miesięcy po wojnie, o której pisze w „Głosie" pani magister Janina Ojrzyńska; ani tych dzisiejszych emerytów grających w damkę w łódzkich parkach w otoczeniu tłumu kibiców; ani deptaka na Pietrynie w zimowy wieczór, ani tłumów nad nędzniutkim stawem Stefańskiego w letnie południe. Żaden Wiech nie nobilitował łódzkich powiedzonek do rangi „mitotwórczego czynnika" regionalnej specyfiki, nie rysował łódzkich typków żaden Kostrzewski. Widzicie — wspominam samych humorystów, samych twórców „niepoważnych". A ile w nich Warszawy, ile miasta...

Oby się tacy na łódzkich kamieniach rodzili. Oby się na największym kamieniu urodził filmowiec, który sprawi, że polubimy naszą łódzkość, że nasze miasto skojarzy nam się ze zwyczajnym, trochę kpiącym, trochę rzewnym, a bardzo potrzebnym uśmiechem.

ĆWIEK

PRZEŚZŁOŚĆ teraźniejszość

LIPIEC 1944 - ZBLIŻENIE

Czas jest selektorem społecznej pamięci. Zaciera szczegóły minionych zdarzeń, eliminuje z pamięci to, co okazało się nieistotne, pomaga utrwalić w niej te ważkie zaszłości, które zaowocowały w teraźniejszości. Pamięć o wydarzeniach 1944 roku jest tego dobitnym przykładem. Każdoroczny lipiec przynosi nam nową rocznicę ważkiego wydarzenia z naszej historii, które z upływiem lat coraz bardziej oglądamy w owej uroczystej, rocznicowej perspektywie. A przecież wtedy, w 1944 roku, nikomu nie było w głowie fundowanie Polakom jakiejkolwiek nowej rocznicy. Starych było wszak bardzo wiele, a PKWN nie wykreślał ich z ludzkiej pamięci, czego przykładem niech będzie PKWN-owy plakat, rozlepiany w Lublinie, z hasłem: „Niech żyje święto niepodległości dnia 11 listopada, rocznica rozbrojenia i wygnania Niemców". Dzień 22 lipca, data ogłoszenia Manifestu PKWN, mógł się stać narodowym świętem Polaków dopiero wówczas, kiedy przeszedł do historii, jako milowy krok na drodze wiodącej do dzisiejszej, socjalistycznej rzeczywistości.

Wówczas jednak, w 1944, słowa Manifestu, że wielkich przemian, których był on wyrazem, nie można urzeczywistnić „bez jedności narodowej" były nie tylko spokojnym stwierdzeniem, ale aktualnym politycznym hasłem. Jubileuszowy ogląd lipca 1944 nie powinien utrudniać nam przypomnienia sobie ówczesnego dramatu stawania się historii, a przecież istotą jej była ostra, bezpardonowa i wielostronna walka, jaką obóz demokracji musiał stoczyć zanim rocznica lipcowa mogła się stać świętem wszystkich Polaków. Doniosłe znaczenie zjednoczenia się wszystkich sił postępu, tych, które najlepiej potrafiły zrozumieć sens dokonujących się przemian, podkreślał wówczas KC PPR stwierdzając w rezolucji, że „warunkiem ostatecznego wyzwolenia kraju i utrwalenia niepodległości, normalizacji życia gospodarczego i społecznego, odbudowy wskrzeszonej Rzeczypospolitej — jest zjednoczenie narodu, pojęte jako czynna solidarna współpraca wszystkich podstawowych warstw narodu, wszystkich demokratycznych stronnictw".

Osiągnięcie tej jedności nie było wówczas sprawą łatwą; tym większe więc znaczenie, że mogła się ona stać faktem. Jest niezmiernie charakterystyczne, że gdy zagłębimy się w ówczesną publicystykę sił postępu, tę, która odegrała tak doniosłą rolę w tworzeniu podwalin Polski Ludowej, wiele, bardzo wiele wypowiedzi rozumiemy dziś jako zapowiedź tego, co jest dziś naszą rzeczywistością. Podstawowe myśli zawarte w owoczesnych programach nie zwietrzały, ale przybrały inny wymiar i dlatego mogą się dziś już kojarzyć z, świątecznym jubileuszem. A głosy przeciwników? „Dziś już trudno wyobrazić sobie — pisał przed laty pierwszy historyk, który podjął badania nad dziejami PKWN — trudno zamknąć w ścisłe definicje i socjologiczne diagnozy wszystkie fałszywe pojęcia, mylne sądy i nieporozumienia istniejące wówczas wśród ludzi w stosunku do władzy, która rodziła się na lubelskiej ziemi".

Dziś trudno nam powstrzymać uśmiech, kiedy zza niektórych owoczesnych wrogich enuncjacji wyziera nieraz oblicze zwyczajnego... kołtuna.

Byłoby to zbyt dobrze, gdyby władza ludowa liczyła wśród swoich przeciwników w 1944 r. samych tylko kołtunów. Wróg polityczny reprezentował — o czym warto pamiętać — realną siłę i był zdecydowany do przystąpienia do walki. Ale oprócz niego była jeszcze masa ludzi zdezorientowanych, nieufnych, wyczekujących, nieświadomych kierunku przemian, których nie tylko było można, ale trzeba było pozyskać, jeżeli zaprogramowane wielkie cele miały się przekształcić w społeczno-polityczną rzeczywistość. Ludzie, którzy podjęli budowę nowej Polski „musieli przełamać uprzedzenia społeczne wobec programu, który głosili, przekonać społeczeństwo, że jest to program prawdziwy, jedynie słuszny i konieczny, stwarzający nieograniczone możliwości rozwoju Ojczyzny, ale musieli także przeciwdziałać całej fali wrogiej propagandy, neutralizować i likwidować wpływ haseł, których bynajmniej nie głosili. Od początku było to zadanie trudne, skomplikowane, wymagające wielkiej umiejętności, wiedzy i rozeznania w panujących stosunkach". A przecież... była to ledwie cząstka tego wszystkiego, co należało koniecznie uczynić.

I tego, co zostało dokonane, I dlatego obchodzimy dzień 22 lipca jako nasze, wszystkich Polaków święto. Święto dokonań Polski Ludowej, tych dokonań narodu, które sprawiły, że data 22 lipca 1944 nie jest dla nas tylko przypomnieniem faktu z minionej przeszłości. Bowiem ta przeszłość jest zarówno historią, jak teraźniejszością, jest nami i jest w nas.

LEKTOR

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Żwirki 17.
Zam. 1568. T-4. Nr indexu 37006